

GRUDZIEŃ 1938 R.



RODZINA
POLSKA

Z KSIĘGI PIELGRZYMA

WOJSKO SIĘ MODLI

Zwróciła moją uwagę krótka notatka w dziennikach, że podczas obejmowania Zaolzia przez wojska polskie ludność ogromnie była wzruszona drobnym, zdawałoby się, zdarzeniem. Zobaczyli, jak w czasie porannej i wieczornej pobudki wojsko polskie się modli.

Najwyraźniej, ogarnęło widzów wzruszenie z tego powodu. Przyzwyczajeni byli widać do wręcz przeciwnego stanu rzeczy: — wojsko czeskie nie znało modlitwy wspólnej, publicznej.

Drobne, powiedziałem wyżej, zdarzenie. Boć istotnie w życiu społeczeństwa nie obojętnego wyznaniowo modlitwa poranna i wieczorna należy do programu dnia. I jak nikt z ludzi kulturalnych nie wyjdzie z domu bez toalety porannej, tak samo żaden katolik nie opuści modlitwy porannej, ani wieczornej. Poważnie świat traktuje toaletę codzienną ciała, jeszcze poważniej Kościół katolicki traktuje codzienną toaletę ducha.

I tak samo poważnie zapatruje się sztab polski na modlitwę wspólną, codzienną w wojsku.

Jest to zresztą nasza tradycja narodowa, kościelno-narodowy obyczaj, urobiony przez całe tysiąclecie od przyjęcia wiary Chrystusowej. Przyszłościem stała się nam zasada, wypowiedziana przez poetę:

Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa — tak mawiali starzy,
Gdy pomocy boskiej wezwiesz — wszystko ci się zdarzy.

A że z każdym nowym dniem w życiu człowieka zaczyna się nowy odcinek jego spraw, więc aby mu się wszystko to „zdarzyło”, rozpoczyna je rano z Bogiem, wieczorem kończy z Bogiem. Sercem oddanego syna, czy córki, załatwia wszystko z Ojcem swoim, który jest na niebie. Powierza mu wszystkie swe radości i troski. Mocniejszy idzie przez życie, w oparciu bowiem o Boga wykonywa „wszystkie nasze dzienne sprawy”. A w końcu dnia, przed zaśnięciem, oddaje się również w ręce Ojca. W ten sposób modlitwa poranna i wieczorna ujmują życie człowieka jakby w ramy złote błogosławieństwa Bożego.

Nowe Czechy widać postanowiły wzgardzić dawną mądrością. Jęły wszystko zaczynać nie z Bogiem. Jęły spychać religię z królewskiego piedestału w życiu publicznym. Ograniczały ją, jak kopciuszka, do ciasnych ram życia prywatnego w myśl zasady socjalizmu. Zamiast o Boga, oparły swe nowe dzieje państwowe o moc sojuszników i traktatów, w przeświadczeniu, że potęgą mocarstw sprzymierzonych będzie dla nich tarczą bezpieczeństwa, pod osłoną której „wszystko im się zdarzy”. — Na zdar! — A tymczasem na oddrzwicach ich państwa zdawała się pisać ręka Stwórcy zdanie Pisma Świętego: „Przeklęty człowiek, co ufa w człowieku”...

Podobnych odchyłeń od Boga w życiu dzisiejszych ludzi spotyka się bardzo wiele, na każdym kroku. — Haśło — wyrzucenia wiary i modlitwy z życia publicznego, pod wpływem socjalizmu, stało się niemal międzynarodowym dogmatem. Umysły i dusze powierzchowne, a zapędzone, zagalopowane w pogoni za groszem, ulegają mu bardzo łatwo. A takich dusz wszędzie jest ilość

ogromna. Dla dusz i umysłów głębszych wiara w Boga i modlitwa jest koniecznym składnikiem życia, ale takich dusz jest o wiele mniej.

Toteż bardzo poważna odpowiedzialność wobec Majestatu Boga Stwórcy spoczywa na każdym piastunie władzy. Czy to będzie ojciec, względnie matka rodziny polskiej, czy też przedstawiciel każdej władzy publicznej w kraju naszym. Nie tylko sam winien być tą duszą głębszą, pojmującą wagę wiekuistych przeznaczeń swoich, potrzebę religii i modlitwy dla siebie, lecz przede wszystkim jako zwierzchnik winien dążyć do tego, aby jego lekkomyślne „nie sprzeciwianie się złu” — publicznemu zaniedbaniu religii — nie rozpętało głupiego motłochu i nie pchnęło go na bezdroża niewiary.

Wybryki niedowiarstwa osobistego zdarzają się w Polsce. I w rodzinach naszych, i w urzędach naszych, i w wojsku naszym — zapewne. Ale, chwała Bogu, nastawienie obyczaju narodowego, nacisk Kościoła, tradycja religijna w państwie polskim sprawia, że nikt Boga i wiary w Boga, ani modlitwy nie chce zepchnąć z królewskiego piedestału — w życiu publicznym. Stąd też i wojsko polskie wspólnie, publicznie się modli.

Jeśli chodzi o wojsko nasze, tradycja ma tu swoje wyjątkowo silne akcenty. Od zarania dziejów wojsko polskie i wodzowie tego wojska — można by powiedzieć — niemal ostentacyjnie się modlą. Hetmani tego wojska w godzinach przełomowych potrafili modlić się, krzyżem leżąc w kościele. Marszałek Piłsudski po odzyskaniu Wilna szedł po schodach do kaplicy Ostrobramskiej na kolanach, by podziękować za tę łaskę. Jeden zaś z wodzów Polski przedrozbiorowej — hetman Stanisław Żółkiewski — jest kandydatem na ołtarze.

Nie tedy dziwnego, że wojsko polskie i w święto i co dzień się modli. Jedna tylko z chwalebnych jego tradycji zdaje się zanikać. Polskie szeregi w dawnej Polsce przed każdą walną rozprawą z wrogiem, ruszając do boju, śpiewały pieśń św. Wojciecha: — Bogarodzica. Nie spotykałem wzmianki o tym w nowych czasach. Ale może wojsko, które się modli, wzruszając widzów do łez tym widokiem, a zwłaszcza sztab modlącego się wojska wejrzy w tę kwestię. Można sobie przecież wystawić, jak majestat i potęga ducha owiałyby nasze sztandary bojowe, gdyby podczas uroczystych rewij z tysięcy mocarnych piersi żołnierskich uderzył w Warszawę i w niebo hymn prastary:

Bogarodzica Dziewica! Bogiem sławiona Maryja!... *Jan Czar.*

SPÓŁKA AKCYJNA

WŁÓKNO POLSKIE

WARSZAWA 1.

BIURO I SKŁADY: Okręg. 6/8 (dom własny). Tel. 9-56-11.

SPRZEDAŻ: Nalewki 28. Tel. 11-71-13.

FABRYKARNIA bielnik, merseryzowania, Gostyńska 13 (dom własny). Tel. 5-08-13.

Przedza wełniana, bawełniana, dla przemysłu trykotażowego, pończoszniczego, i na roboty ręczne.
SPRZEDAŻ HURTOWA.

**Szanownym Czytelnikom szczerze życzenia
Wesolych Świąt składa Redaktor Naczelny
i Zespół Współpracowników „Rodziny Polskiej.”**

R MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY **RODZINA POLSKA** A

ROK XII. WARSZAWA – GRUDZIEŃ 1938

Nr 12

W N O C C U D Ó W

*Kołędy słów szeleszczących
w gałązkach pachnących lasem...
wiatr białym opłatkami śniegu
z przyszłością dzieli się naszą...*

*Dzwoniące muszelki sanek
wśród dzwoneczków z perłowej piany...
wspomnienie:
radość dzieciństwa,
białą kołędą zawiana —*

*Biała zaduma —
gwiazdowa wigilia...
Noc za oknami —
miłość odległa — —
smutkiem złączona
jest poza nami — —*

*Kołędy dawne.
Radość bezsłowna
w spojrzeniu matki...
Na dłoniach drżących,
łez pocałunki
w białych opłatkach...*

*Cisza przedświt —
Noc zgasła w oknach
gwiazdą najpierwszą...
Białe opłatki
skruszone słowem...
w świątecznym wierszu...*

Józef Baranowski.



„CHRYSZTUS SIĘ WAM NARODZIŁ”

Wieków temu dziewiętnaście, przybiecany świata Odnowiciel zjawia się na ziemi. Z wyżyn anieli zwiastują go pasterzom: „Dziś w mieście Dawidowym narodził się wam Zbawca, Chrystus Pan; a ten wam znak: znajdziecie dzieciątko, w pieluszki powite, w żłobie położone”.

Boskie to niemowlę. On sam tylko żył zanim się narodził. Żył w tysiącletnich tęsknotach patriarchów, w wizjach proroków, w historii tego narodu dziwnego i jedynego w swoim rodzaju, narodu, który jakby nie miał teraźniejszości, a żył tylko wizją przyszłości, żył w sercach wszystkich oczekujących światła i prawdy. Oczekiwany, wzywany, kochany i uwielbiany pierwej niż stopą swą dotknął ziemi. Nim słowo ludzkie wyrzec zdołał, księgi rozliczne wypełnił swoją osobą. Czy znasz pod stońcem człowieka, o którym można by powiedzieć to samo?

A więc ta dziecina, to nie jest zwyczajny syn człowieka. To Syn Boży. Odwieczny, bo na ziemi panuje nawet nad przeszłością. Zanim się narodził, już pokolenia dziesiątek stuleci w uwielbieniu przed Nim zginały kolana.

Wieków temu dziewiętnaście wiara prosta przyjęła dobrą nowinę, która wyszła ze skromnej mieściny żydowskiej i wieków dziewiętnaście ta dobra nowina szerzy się po świecie, zapoczątkowuje i roznosi po świecie nową cywilizację, której jest źródłem.

Boże Narodzenie to nie legenda, która zanika, lecz rzeczywistość, która trwa niezachwiana, triumfująca wśród ludzkiej chwiejności. To nie jest mit, który się załamuje, lecz pełna promiennej nadziei prawda, która stale idzie naprzód i podbija sobie świat.

Blask betlejemskiej gwiazdy to nie przebłysk gasnącego świata, lecz iskra miłości, która ma rozplomienić świat nowy. Boże Narodzenie to nie tylko wspomnienie przeszłości, raczej zapowiedź epoki nowej, tej, w której anielski hymn wśród nocnej ciszy nad Betlejemem wyśpiewany stanie się rzeczywistością i rzeczywistością będzie wzniosły, twórczy pokój ludziom dobrej woli obiecanym.

Dusze szczere, prostolinijne, o dobrej woli nawet, gdy są pozbawione tak zwanej wiedzy, mają wzrok bystry, wyraźny i często przenikliwszy niż „dusze uczone”. Posiadają żywszy, czynniejszy, mniej skrepowany „instynkt prawdy”. Wiara rozumna, ale szczerza i pokorna, ochotniej i prościej idzie do Boga, podczas gdy wiedza zarozumiała, nadęta i ociężała gubi się w labiryncie dowodów i zwątpień. Każdemu twierdzeniu przeciwstawia niemniej prawdopodobne przeczenie.

Pasterze ujrzeli blask niezemskiego światła, usłyszeli symfonię anielskich głosów, wzywających ich do Betlejem. Nie znają zwłoki, nie toną w wahaniach; blasku trybny zorzy chmura wątpienia przestąpić nie zdoła. Idą do Betlejem, znajdują Maryję z Józefem i to Dzieciątko, które jest ich Zbawcą, Nauczycielem i Panem. Radośnie oddają hołd należny Majestatowi z nadświatów. Nie ziemskie wiodło ich światło. W duszach swym blaskiem świecił widocznie ten, który później powiedział o sobie: „Jam jest światłością świata”.

„Wiario maluczkich! Ostatni skarbie pociechy dla nędznej ludzkości! Jakże są przewrotni, jak zbrodniczy ci, którzy cię zwalczają i burzą” (Fr. Coppée).

WANDA SKIRMUNTOWA

SPOTKANIE WŚRÓD CHOINEK

Pan Józef wyszedł z baru „pod 13-ką” z lekka zawiąany i bardzo melancholijny. Po ciepłej, przesyconej dymem i zapachami przekąsek atmosferze „13-ki”, chłód ulicy przejął go uczuciem nudy i osamotnienia. No cóż, wszystko ma swój koniec — nawet wesoła „rybka” w gronie kolegów, którzy pouciekali przed świąteczną krzątaniem domu, trwającą przecież u każdej szanującej się gospodyni prawie do samej Wilii. Nie pomogły namowy, ani jeszcze jedna butelka, ani jego talent opowiadania pieprzonych kawałów; począwszy od godz. 5 zaczęli po prostu wyciekać z „13-ki” wszyscy po kolei i na nic się nie zdały wysiłki pana Józefa, który usiłował ich zatrzymać. Śpieszyli się do domu, jakby pociągnięci jakąś magnetyczną siłą. Wreszcie pan Józef został zupełnie sam przy owej wzgardzonej butelce.

— Psiakr... — mruknął pod nosem, naciskając ze złością melonik i zwał czym prędzej z opustoszałej knajpy. Zamknęły się za nim drzwi „13-ki” z kolorowymi okuciami metalowymi i doprawdy jego stan psychiczny był pożałowania godny.

— „Do domciu, do domciu” — przedrzeźniał w duszy — „do choineczki, do domowych przysmaczków, do prezencików i kolęd śpiewanych przez zasmarkane dziatki... „a idźcie sobie na zbity łeb do swoich rodzinnych raików, a ja szczęśliwy jestem, żem się ich dawno pozbył!...”

Nie wyglądał jednak na zbyt szczęśliwego i ani mina jego, ani kroki, które zwrócił w pierwszą lepszą stronę, nie wyrażały bynajmniej, że wie, co ma ze sobą zrobić. Szedł wolnym krokiem, zaglądając z przyzwyczajenia w twarze przechodzących kobiet. Wszystkie były dzisiaj różowe z mrozu, rozradowane, wybiegające naprzód parą błyszczących oczu. W otwartych jeszcze sklepach, były tłumy ludzi — śpieszyły się różne panie, paniusie i panienki, bo naturalnie zabrakło czegoś na ostatnią chwilę. Widział też sporo starszych i młodszych panów, obładowanych paczkami. Przenikał niemal wzrokiem opakowania i odgadywał tu jabłko, tam orzechy, bakalie, zabawki na choinkę... zabawki pod choinkę. Tylko on nic nie niósł prócz swojej misternej laseczki. Wszyscy się dokądś śpieszyli, tylko jego tempo było 10 razy wolniejsze, toteż wciąż komuś przeszkadzał potrącany i zsuwany na brzeg chodnika. Pan Józef czuł, jak mu serce wypełnia coraz większa pustka. Na pociechę postanowił spróbować szczęścia z którąś ze śpieszących się kobiet... a nuż uzyska uśmiech i miły żart, które będzie mógł zamknąć w pamięci i ponieść jak swoje. Ba! Ale wystający brzuszek i osowiała mina nie były mu w tym pomocą — nie zwracano na niego najmniejszej uwagi.

Raptem przystanął akurat w miejscu, gdzie ulica otwierała się na duży plac, bardziej zatłoczony, niż in-

ne ulice. W tym to miejscu natknął się na parę niebieskich oczu, dołeczki w różowej buzi i najbardziej uroczy uśmiech, jaki sobie można wymarzyć. Naturalnie w swej męskiej zarozumiałości poczuł się adresem tego uśmiechu i już zdejmował melonik, żeby zaczepić wesoło jego właścicielkę, gdy ku jego rozczarowaniu pani ta ominęła go jakby był latarnią, lub koszem do śmieci, nie obdarzwszy go nawet spojrzeniem i podążyła wprost ku drewnianym straganom, pełnym kolorowych bomb, zabawek, nici srebrnych i złotych.

— Psiakr... — odsapnął pan Józef — najwyraźniej uśmiechała się do tego straganu, nie do mnie.

Nie uległ jednak zniechęceniu i powędrował od straganu do straganu, towarzysząc jej przy wesołym targu z wyszczekanymi przekupkami. Na próżno jednak zaglądał jej pod kapelusz to z jednej, to z drugiej strony — widziała tylko te kolorowe cacka.

— Psiakr... — pomyślał zirytowany pan Józef — nie darmo filozofowie mówią, że w kobiecie jest coś z dziecka.

Mimo to ściagał ją zawzięcie aż w choinkowe gąszcze, które okrażyły kościół od tyłu zieloną ścianą.

— Staszek!!

— Ja! A ty co tutaj robisz?

Wybuch śmiechu przerwał filozoficzne rozmyślania pana Józefa, który nagle ujrzał piękną nieznaną, uwieszoną u wolnego ramienia młodego, eleganckiego mężczyzny, podczas gdy jego drugie ramię było całkowicie zajęte przez zgrabny świerczek. Musiało to być jakieś młode małżeństwo jeszcze, tak gorąco na siebie patrzyli i tak wiele mieli sobie do powiedzenia. Pan Józef najpierw zaskoczony, potem z lekka zadumany, stał przez chwilę i patrzył niezauważony przez tych dwoje. Oho! Znał się na tych sprawach! Słicznie wyglądali wśród choinek i śniegu, na który miasto kładło swoje neonowe ślady. Przytuleni do siebie ze świerczkiem w rękę tworzyli tak ładną parę, że pan Józef aż poczuł, że mu gorzko w ustach. Gdy mijali ich w przyspieszonym już tempie, dobiegły go jeszcze słowa:

— ...bo widzisz, chciałem ci zrobić niespodziankę, żonuś...

— Ależ ja tak samo.. ja tak samo...

— Jakto, więc ty też chciałaś kupić drzewko?

— Ależ tak, po to tu przyszłam.

— A co to za paczuszki?

— No, zabawki na choinkę panie niedomyślny!

Wybuch młodego, wesołego śmiechu.

— To zupełnie tak, jak gdybyśmy się umówili — ty zabawki, a ja drzewko...

Pan Józef uciekł czym prędzej na drugą stronę choinkowego lasku. Stanowczo radość ludzka wyprowadzała go z równowagi dzisiaj, ponieważ on sam nie miał do niej żadnych specjalnych powodów. Oparł się o dużą skrzynię, przewróconą dnem do góry, puścił w ruch laseczkę i rozmyślał, jakby tu spędzić resztę wieczoru?... gdy nagle z pomiędzy choinek wybiegła wprost na niego mała psinka. Nastawiła czarne uszka i podniosła łapkę, przyglądając się ciekawie panu Józefowi.

— O Boże — odsapnął tenże — biała foksterierka... wykapana Śnieżka mojej starej...

Psina przysiadła na ogonku vis-à-vis pana Józefa, widocznie specjalnie zainteresowana jego osobą. W jednej chwili stanęła mu przed oczyma zielona kanapa, wytarty dywan i zegar tykający na ścianie... i klatka z kanarkami, o które wiecznik prowadził wojnę ze swoją Florką... Dzień wigilijny... ba! Pyskata była baba, ale pierwszorzędną gospodyni. Cóż to za cuda wychodziły spod



jej rąk! A jak się wszystko świeciło od czystości! I zawsze był obsłużony, jak gdyby nie jedna rozwrzeszczana żona, a cały sztab kobiet kręcił się koło niego... cóż kiedy te kanarki... Bywały czasy, że przychodził tu na ten plac, nie jako przygodny spacerowicz, ale po choinkę; ciągnął ją potem do domu, żeby tradycyjnie zostać wylajany, że kupił za drogo. No tak, ale zawsze... Obrus ten biały jak śnieg... sianko pachnie... na stole doniczki z kwiatami, (jak te zielska dobrze szły u Florki, pojęcie przechodzi), a potem szczęk talerzy i sztućców... zapach struclii... Wilia... i Florka dziwnie cicha — zawsze musiała się splakać przy opłatku... Ech, mój Boże!

W tym momencie foksterierka zdecydowała się podejść do pana Józefa i wyciągnawszy zgrabny pyszczek, obwąchiwała go jeszcze z daleka i ostrożnie.

— Wykapana Śnieżka... zupełnie jakby ta sama... brrr... jak nie cierpiał tego psa. Jak zaczęła szczekać tym swoim falsetem, to mróz szedł po kościach. Pasowała do Florki, jak nie można lepiej... Florka, Śnieżka, kanarki... i Zuzia. Sam nie wie, czemu tak nie miał serca do tego dziecka... może dlatego, że tak samo wrzaskliwa jak Florka... jak cały dom. Cóż dziwnego, że już trzy lata, jak zwiął z tego harmideru, a żonie przesyła pieniądze tylko pocztą... Hm! Ten tego... zawsze był jednak człowiek na święta w rodzinie... pocziwa była swoją drogą ta Florka — żeby nie taka pyskata...

W tej chwili psina, obwąchawszy pana Józefa już dokładnie i z bliska, wybuchnęła nagle przejmującym piskiem i to z taką wściekłością, jakby się jej gotowało w pyszczku. Hysteryczne zacięcie tego ujadania dreszczem przejęło pana Józefa.

— Śnieżka! To Śnieżka!! Skąd ona się tu wzięła, to paskudne psisko... Psiakr... ot feralny dzień!

Poderwał się ze skrzynki, otrzepał ośnieżony rękaw i czym prędzej zabierał się do ucieczki z tej psiej opresji, gdy nagle po drugiej stronie choinek odezwał się głos jeszcze cięszy i jeszcze bardziej piskliwy.

— Śnieżka! Ciu-ciu-ciu! Tutaj psiuniunia, tutaj! Śnieżka, Śnieżu-u-u-ńcia...

Na ten głos pan Józef zrobił się biały jak śnieg, który mu prószył na kołnierzu. Nogi się pod nim ugięły.

— Florka...

Bał się poruszyć; nie wiedział w którą stronę pójść, żeby się właśnie na nią nie natknąć. Niedługo jednak przeznaczonym mu było tak stać z trwożnie bijącym sercem — ponieważ z największej gęstwy drzewek wysunęło się najpierw potężne ramię, potem przekrzywiony kapelusz, a za nim reszta jego połowicy.

— Śnieżka, Śnie...

Świdrujący pisk zamilkł i pani Flora stanęła, jak wryta. Była zziązana pogonią, ale buraczkowy odcień jej policzków zciemniał jeszcze o ton na widok melonika i nonszalanckiej laseczki pana Józefa. Dyszała ciężko i machinalnie przekładała z ręki do ręki z pół kopy najróżniejszych paczuszek. Półotwarte usta i falujące łono składały się na widok po prostu groźny.

— Wielkie nieba! — przemknęło pod melonikiem — po prostu zatknęło ją; ale niechże przyjdzie do siebie i rozpuści język — nim skończy, zginę marnie na mrozie...

Obejrzał się z rozpazą na wszystkie strony, czy nie dałoby się dyskretnie dać drapak w choinkowe zakamarki. O-o! Doskonale! Za tę małą choineczkę, a potem w te wielkie i od razu znajdzie się człowiek po drugiej stronie kościoła... wystarczy małe półobrotu, dali-bóg.

Zerknął raz jeszcze na Florkę i... co to? Po czerwonej, zdyszanej twarzy toczą się dwie ogromne łzy...

— Florka płacze! Florka nic nie mówi — tylko płacze! Z samego dna Józefowego serca wypłynęło cichutkie „psiakr...”.

Florka nigdy nie płakała — tylko raz po śmierci ich synka, a potem co roku przy dzieleniu się opłatkiem przed Wilią. Pan Józef klepał ją wówczas po karku i mówił, kryjąc wzruszenie: „No co tam stara... no co tam...”. Po czym całowali się aż echo szło. Toteż widok łez Florki przygwoździł go do miejsca. Już, już chciał

Święty Mikołaj jest bardzo szczodry dla grzecznych dzieci.



jej powiedzieć „no co tam stara”... ale słowa rozbiegły się gdzieś, zanim je zdołał wykszusić.

Śnieżka tymczasem wyszczekawszy się dowoli, usiadła na jakieś dwa kroki przed nim i wpatrywała się weń złośliwie, powarkując już tylko z cicha.

— Florka płacze...

Pefen zakłopotania i tajemnego wzruszenia, pochylił się ni stąd ni zowąd nad pieskiem i spróbował go pogłodzić.

— Śnieżka, Śnieżu... ach!

Psia mordka zawisła na moment u jego ręki, po czym zaczęły z niej spływać jedna za drugą krople krwi... Pan Józef miał bardzo wrażliwą naturę, toteż na ten widok poczuł się cokolwiek niedobrze. Ale właśnie ten incydent przerwał bierne milczenie małżonków i wypadki potoczyły się w kinowym tempie. Florka krzyknęła nieswoim, jak to się mówi, a w tym wypadku swoim głosem — paczuski potoczyły się wiankiem po śniegu... i ręka pana Józefa została owinięta w chustkę od nosa, wydartą pośpiesznie zza dekoltu.

— Noga jestem, jeśli cię nie oddam hyclom, ty choro!

Słowa te, zwrócone naturalnie do Śnieżki, zabrzmiały w uszach pana Józefa niczym anielska muzyka, zaś poczciwa troskliwość żony napełniła go błogim uczuciem. Pomyślał:

— Ech, mój Boże, poczciwa jednak ta stara...

Chciał jakoś wyrazić te swoje uczucia, więc poklepał ją po futrzanym kołnierzu: „No co tam stara... no co tam...”.

Dobrze, że stały choinki dokoła, bo przynajmniej mogli pocałować się mocno i dokładnie. Po czym pan Józef, zbierając na kolanach rozsypane paczuski, mruknął spod melonika:

— Florka, a może kupilibyśmy drzewko dla Zuzi?





Wspaniałą ozdobę z śnieżnej bieli zastąpią wkrótce świeczki i świecidełka.



Na placach wielkich miast roziskrzyły się choinki. Spizowi bohaterowie z pomników też muszą mieć choinkę.

LEON RADZIEJOWSKI

DWUDZIESTOLECIE NASZEJ NIEPODLEGŁOŚCI

Mocarstwa, które w 1914 r. rozpętały wojnę światową rzucając swoje ambitne, zaborcze plany, nie spodziewały się nigdy, iż wynikiem ich krwawych zapasów będzie wskrzeszenie niepodległej Rzeczypospolitej. Ale ten moment sprawiedliwości dziejowej przeczuwał naród polski. Zmuszony do walki bratobójczej pod obcymi sztandarami w obcych mundurach — dążył do skupienia swych sił pod własną chorągwią Orła Białego z hasłem wolności i niepodległości. W imię Polski walczyli więc legionści Piłsudskiego, bajończycy, dowhorczycy, hallerczycy, żeligowszczycy, murmańczycy, sybiracy i inni. Wprawdzie społeczeństwo polskie w dobie wojny dzieliło się na różne „orientacje” — ale któż zaprzeczy, iż chodziło zawsze o jeden wspólny cel, że chodziło raczej o taktykę. Trzeba więc oddać sprawiedliwość wszystkim, którzy walczyli i pracowali dla Polski niepodległej. Jeśli komu dzieje się dziś krzywda, jeśli czyjeś zasługi są jeszcze przemilczane i pomijane — przyjdzie czas odania sprawiedliwości każdemu wiernemu synowi Ojczyzny.

Nie powstała z grobu wielka nasza męczennica w dawnych, rozległych swych granicach. To prawda. Ale zbudziła się do nowego życia większą niżli mogli przypuszczać realnie myślący politycy nasi. Powstała wśród gromów burz wojennych, wśród huku rozpadających

się organizmów państwowych, na gruzach i zgłiszczach. Gdy pękły kajdany, gdy zatryumfowało na ziemi polskiej hasło: wolna, zjednoczona, niepodległa — znalazła się Polska zewsząd otoczona wrogami, była jeszcze państwem bez granic. Trzeba było granice te wyrąbać szablą polską.

I oto toczy Rzeczpospolita krwawe boje z Ukraińcami, z Czechami, Niemcami, przeciwko którym powstaje zbrojno Wielkopolska i trzykrotnie Śląsk Górny, z barbarzyńskim najazdem bolszewików moskiewskich i napaścią Litwinów. W walkach tych naród polski składa dowody bohaterstwa i woli życia. Okrywa się nową chwałą, osiąga stałość granic, wchodzi do rodziny narodów wolnych nie z czyjejś łaski, lecz w imię własnego nieprzedawnionego prawa.

Wielu na szerokim świecie chciało widzieć w Polsce jedynie „państwo sezonowe”, starano się przy tym, by Rzeczpospolita nie była za wielka, za potężna. Popierano na naszą niekorzyść naszych współzawodników i wrogów. Ale dziś po latach dwudziestu Polska zadaje kłam wszelkim pesymistycznym przepowiedniom i oszczerczym o sobie legendom. Jest już wielkim mocarstwem, które zdolne jest do bronięcia swoich interesów bez pomocy nawet przyjaciół i z każdym rokiem rozszerza swe wpływy i wzrasta na siłach.



Budownictwo polskie „wylatuje nad poziomy”.

Rozdarta przez zaborców na części, rujnowana gospodarczo i wreszcie ograbiona doszczętnie Polska szybko i umiejętnie zaczęła leczyć swoje rany.

Świat się zdumiał, gdy bez zgrzytu nastąpiło ponowne zlanie się trzech zaborów i odbudowa kraju, leżącego w większej swej części w gruzach.

Ważnie wewnętrzne, od których nie jesteśmy, niestety, wolni, a na które liczyli niektórzy nasi sąsiedzi, powołując się na historyczną „niezgodę” i „anarchię polską” — są wprawdzie zjawiskiem smutnym, ale w chwili niebezpieczeństwa cały naród staje w jednym szeregu i pod jednym sztandarem. Tak było w 1920 r., powtórzyło się to dwukrotnie i w bieżącym 1938 r. w marcu i wrześniu... I tak będzie zawsze...

Jeśli inne bogate i dobrze zorganizowane narody mają dziś wielkie trudności zarówno w stosunkach wewnętrznych, jak i na terenie międzynarodowym — to czyż nie w gorszym położeniu jest Polska, która musiała tworzyć w ciężkich nad wyraz warunkach całą swoją organizację państwową i zdobywać sobie należne miejsce w świecie? Jednak mimo to wszystko — możemy powiedzieć, iż Polska zdała egzamin, że idzie naprzód ku dobrobytowi i potędze. —

Już na sam rzut powierzchowny oka — stwierdzić można ogromne zmiany zewnętrzne w Polsce w porównaniu z dobą przedwojenną. Chociaż powoli, ale za to konsekwentnie usuwane są skutki złośliwych zaniedbań Rosjan i Austriaków. Kraj cały przybiera wygląd europejski. Tylko ślepi nie widzą dodatnich zmian na

naszym Wołyniu, dźwigniętym energią polską. Zapytajmy Kaszubów czy woleliby, gdyby chodziło tylko o względy materialne, rządy niemieckie czy polskie? Odpowiedź będzie na naszą korzyść.

Czy nie podziwiają cudzoziemcy naszej Gdyni, która z małej wioski rybackiej przeistoczyła się, jak na skinienie różdżki czarodziejskiej, we wspaniałą, nowoczesny port, jeden z największych w Europie? Czy wielki przemysł górnośląski, wbrew przepowiadaniom niemieckim, stracił co na swym rozmachu? Czy nie powstały w niepodległej Polsce nowe ośrodki życia gospodarczego, czy nie tworzymy nowy okręg przemysłowy w centralnej Polsce, czy po przełamaniu kryzysu lat ostatnich nie pulsuje w Polsce wszędzie życie i nie kwitnie praca? Zapewne mamy i bezrobotnych, i wiele dolegliwości — innych, ale czy inne wielkie i bogate narody są od tego wolne?...

Polska lekceważyła w dobie swego upadku siłę zbrojną, co ułatwiło wrogom rozbiory kraju. Dziś armia polska jest okiem w głowie państwa i narodu. Mamy liczną i dobrze uzbrojoną armię, która strzeże granic Najjaśniejszej i stanowi o naszym znaczeniu w Europie. I nie ustajemy w wysiłkach, by armia ta była coraz doskonalsza, coraz bardziej przystosowana do obrony kraju w razie potrzeby.

Jednocześnie rośnie nasza siła i na morzu. Zarówno marynarka wojenna jak i handlowa stale się powiększa, choć jeszcze daleko nam do osiągnięcia wytkniętego celu. Ale już dziś większość naszych obrotów handlo-



Nasza flota nie liczna, ale nowoczesna, godnie nosi sztandar Polski po dalekich morzach.

wych odbywa się drogą morską — przez Gdynię i Gdańsk.

Garść cyfr pomoże nam uwypuklić tę prawdę naszego postępu.

Przed wszystkim ludność Rzeczypospolitej szybko wzrosła. W 1921 r. liczyła Polska 27.200.000 obywateli, w 1931 — 32.100.000, zaś w 1938 — 34.534.000. Obecnie po przyłączeniu Śląska Zaolzańskiego oraz skrawków Spisza i Czadeckiego — mieszka w Polsce 35.110.000 ludzi. Gęstość przeciętna zaludnienia wynosiła w 1921 roku — 70 ludzi na 1 km kw. Obecnie 89, przy czym najgęściej zaludnione są województwa południowe (115 na km kw.) i najrzadziej wschodnie (49). Polsce przybywa rocznie około 365 tys. ludzi, gdyż nadwyżka urodzin nad zgonami wynosi ponad tysiąc dziennie. Niestety, przyrost naturalny ludności w Polsce, wynoszący obecnie 10 pro mille, z roku na rok maleje. Przed wojną na ziemiach polskich notowano 36 urodzin na tysiąc mieszkańców, obecnie zaledwie 24. Na pociechę trzeba zaznaczyć, iż w szeregu krajów europejskich naturalny przyrost ludności wynosi zaledwie 2 — 4 pro mille, we Francji zaś występuje wyraźny ubytek ludności.

Cierpimy wprawdzie na dotkliwy wciąż brak szkół. Ale mimo to w walce z analfabetyzmem odniosła już Polska znaczny sukces. W 1921 r. było ogółem u nas 33,1 proc. analfabetów, w 1931 r. natomiast 23,1. Zjawisko analfabetyzmu w Polsce zwiększa się w miarę posuwania się na Wschód. Tak na Śląsku mamy zaledwie 1,5 proc. analfabetów, w Wielkopolsce 2,8 proc., w m. st. Warszawie 10 proc., na Wołyniu zaś 47,8, na Polesiu 48,4 proc. Większy jest oczywiście analfabetyzm na wsi niżli w miastach i bardziej rozpowszechniony wśród kobiet. Analfabetami są przeważnie dzieci do lat 10 — 14 i osoby liczące ponad lat 40 wieku. Obecnie w 1938 roku istotna liczba analfabetów oceniona jest na 12 — 14 proc. ogółu ludności. W porównaniu więc do 1921 r. jest to skok olbrzymi...

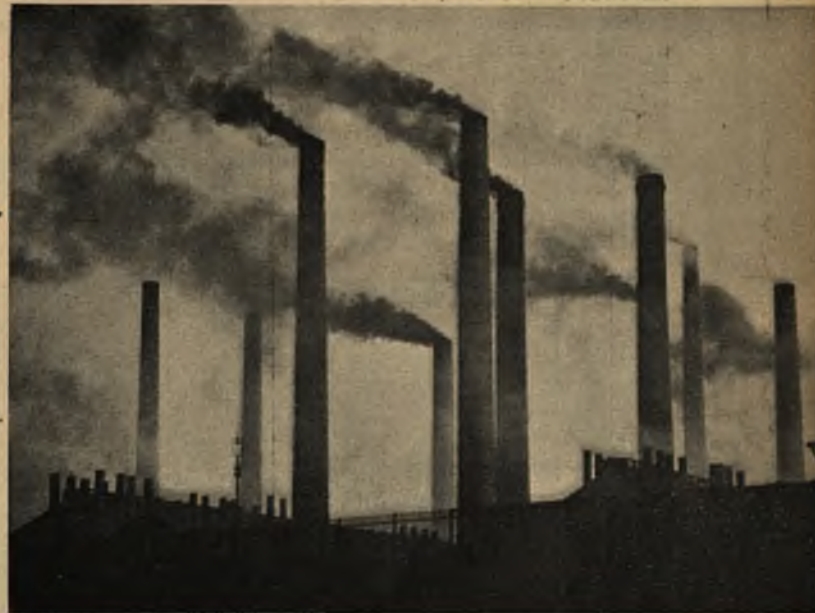
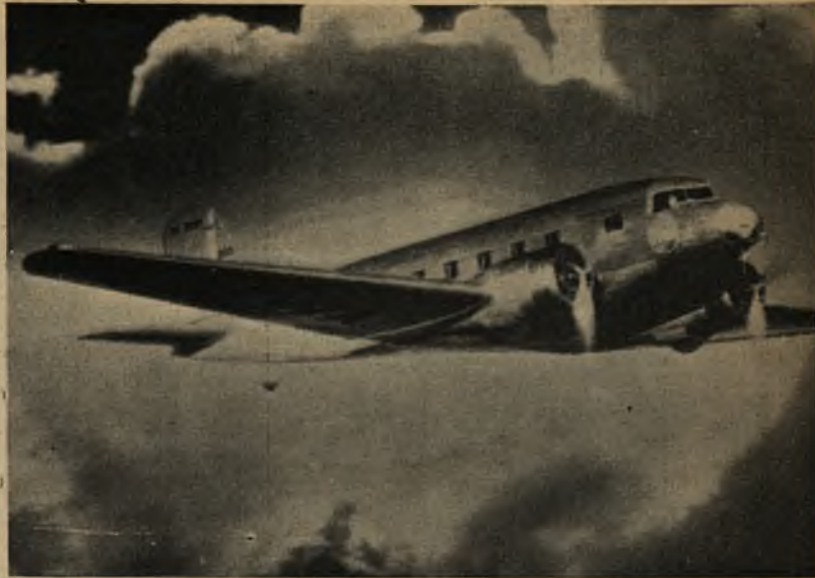
Rolnictwo w Polsce stale się podnosi. Zwiększa się ustawicznie powierzchnia zasiewów przez usuwanie nieużytków i ulepszenie kultury rolnej. Wystarczy zaznaczyć, że w latach 1904 — 1913 na obszarze dzisiejszej Polski zbiory pszenicy wynosiły 16.800.000 kwintali, a w 1938 — 21.600.000 kw. —

Godnym jest również uwagi wzrost oszczędności. Tak w 1928 r. wynosiły one 2.686.000.000 zł, a w 1937 — 3.888.000.000 zł.

Winniśmy być sprawiedliwi i wobec siebie samych. Stwierdzając, że w bardzo wielu wypadkach pozostajemy w tyle za innymi narodami — nie możemy jednak zamykać oczu na nasze osiągnięcia, tym bardziej, iż stały się one rzeczywistością w okresie największych naszych trudności.

Nie mamy powodu do pesymizmu, lecz raczej do wiary w lepsze nasze jutro i w nasze siły. Jesteśmy narodem młodym, żywotnym, ale narodem o starej kulturze łacińsko-chrześcijańskiej, narodem o świetnej historycznej przeszłości. Zadaniem naszym jest przeszłość tę wskrzesić w nowym kształcie.

Odbudowa polityczna i gospodarcza kraju — nie stanowi jeszcze wszystkiego. Jednocześnie w Polsce pulsuje ruch odrodzenia moralnego pod sztandarem Chry-



Od góry: Pierwsze dwudziestolecie przyniosło nam wspaniałe rezultaty w dziedzinie lotnictwa.

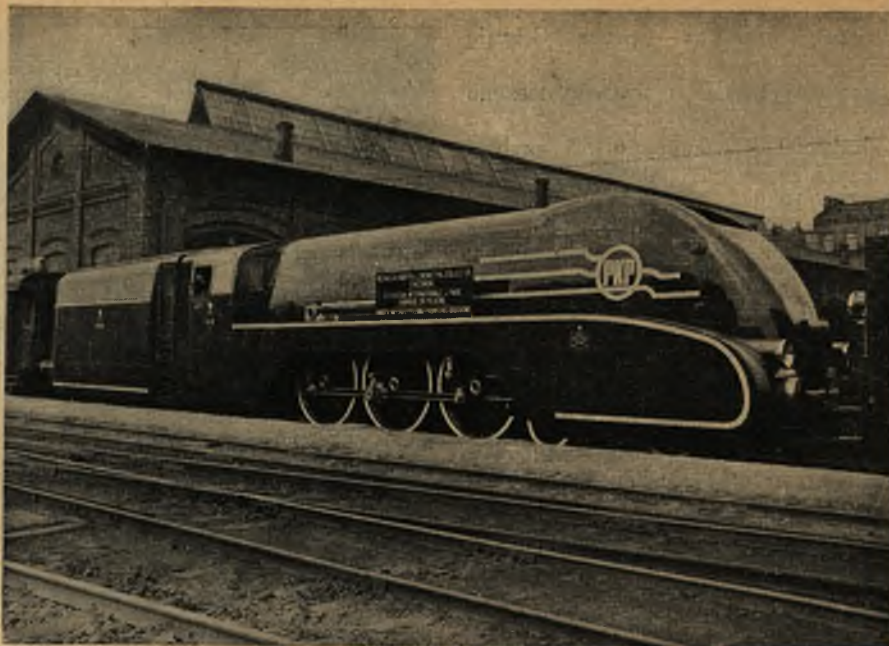
W środku: Las kominów cynkowni w Szopienicach.

Od dołu: Dwadzieścia lat ure praca w hutach Górnego Śląska. Oto wspaniały widok huty Piłsudskiego.

stusa i przewodem Kościoła katolickiego. Ruch ten sięga głęboko i ma przed sobą wielkie i szlachetne cele. Katolicyzm pragnie zmienić Polskę dzisiejszą w państwo Chrystusowe, wcielając w życie nakazy naszego Boskiego Zbawcy. Chce, by Rzeczpospolita była mocarna i sprawiedliwa dla wszystkich, wierną Bogu i Kościołowi, przykładem dla innych państw i narodów.

Jest to praca na długi dystans, ale jest już rozpoczęta i musi być wykonana.

Cokolwiek bądź sądzimy o sobie — jedno jest prawdą, że dwudziestu lat niepodległości, mimo błędów — nie zmarnowaliśmy. — Z wiarą przeto idziemy ku swym przeznaczeniom, w Bogu czerpiemy swe siły i składając hołd bohaterom walk i prac o wolność narodu — święci-



Fabryka lokomotyw w Chrzanowie produkuje parowozy rozwijające szybkość do 140 km na godz. Na ilustracji parowóz wystawny w ubiegłym roku na wystawę w Paryżu.

my radosną rocznicę 20-lecia wskrzeszenia Polski w pełni sił do dalszej pracy dla słonecznego naszego jutra.

A jeśli jesteśmy często szkalowani przez naszych nieprzyjaciół, jeśli każdy nasz błąd jest rozdmuchiwany szeroko i wyzyskiwany celem osłabienia naszej pozycji międzynarodowej — nie przerażajmy się tym... Przeciwnie, w walce o swoje stanowisko w Europie i słuszne prawa — wydobywajmy z

siebie tę moc ducha, która decyduje zawsze o zwycięstwie. I pamiętajmy również, że wyrokiem Opatrzności Polsce przeznaczone jest szczególne miejsce wśród narodów, że jesteśmy strażą przednią i przedmurzem łańciskiej kultury na Wschodzie, że piękna zewnętrznie ojczyzna nasza musi być również piękna duchowo. —



Te potężne maszyny były ostatnim argumentem w dyskusji z Czechami.



Pełną parą ruszamy w nowe dwudziestolecie.

CZESŁAW KSAWERY JANKOWSKI

EPOKA „WERSALU”

Wczytując się w stare kroniki i wspomnienia panów zagranicznych zbaczających niekiedy w swoich podróżach z dalekich szlaków europejskich do Polski, uderza i wśród najbardziej krytycznie usposobionych piękny ukłon złożony w stronę naszej dworskości, zniewalającej swą godnością i wdziękiem nawet najwytworniejszych.

Kawaler de la Chetardie pisze, iż nie tylko „wyższe towarzystwa”, lecz nawet sfery mieszczańskie i pospólstwo miało „wdzięczne maniery” okazywane w każdej okoliczności i jeśli do stolicy Polski przywiązano miano Paryża północy, to zapewne nie z racji bogactwa i piękna architektonicznego, lecz dla owych wdzięcznych manier i trochę hałaśliwej, ale i słynnej, wprost spod serca płynącej gościnności.

Epoka kontuszowa i wysoki pod tym względem poziom czasów Stanisława Augusta utrwalił tę cechę charakteru tak silnie, że przetrwała ona w nieskażonej prawie formie aż do czasów przedwojennych.

Typ człowieka w okresie przedwojennym miał w sobie jeszcze wiele z tych elementów, o jakich tak wdzięcznie pisali obcy podróżnicy i przybysze; ten Wersal nie polegał bynajmniej na sztuczności, czy przesadzie — był on zjawiskiem naturalnym, związanym z psychiką mas, z ich stosunkiem do ludzi i okoliczności, upraszczającym i ułatwiającym życie.

Szerokie prądy demokratyczne i demagogiczne, jakie poczęły wiać wszystkimi drogami po światowej hekatombie, pauperyzacja inteligencji, tempo czasu, wywrócony na nice układ stosunków w każdej nieomal dziedzinie życia — zniósł bez śladu nie tylko wszelki wersalizm, ale prymityw uprzejmości, namiastkę poprawności we wspólnych stosunkach ludzkich.

Oczywiście trudno wymagać, aby człowiek współczesny, toczący na ciągle żywym froncie walkę o wielkie słowo Byt, walkę zaciętą, bezpardonową, bezwzględną, mógł układać swój stosunek do życia i otoczenia na

wzór salonowej wizyty. Kto nie tylko dla sportu, lecz i z konieczności używa boksu, ten częściej bije, niż głaszcze...

Człowiek niedostosowany do współczesnego typu życia, raziłby jak wyjęty z gablotki numizmatycznej; byłby bardzo miły — ale za szkłem, na co dzień trąciłby anachronizmem. Nie chodzi więc o „słodki madrygał” cikliwy i przesadny w koniunkturze przeżywanego czasu, chodzi o powstrzymanie się na granicy brutalności, wulgaryzmu bijącego coraz dosadniej pięścią między oczy.

Formy współczesnego życia w codziennym, cegodziennym obcowaniu są tak przykre, rażące, niekiedy wręcz bolesne, wywołują taki wstręt i odrazę, że nie potrzeba nawet wytworniejszych duchowo natur, by otrząsnąć się jak po przykrym katzenjammerze.

Wystarczy sięgnąć po którykolwiek dziennik i przejrzeć rubrykę tzw. wypadków, aby stwierdzić, że pstrzy się ona od napaści, bójek, ulicznego rabunku i terroru uprawianego w biały dzień, zarówno wśród dzielnic najbardziej predystynowanych jak i na peryferiach miasta. Przechodzeń na Powiślu, Bródnie, Czerniakowskiej czy Ochocie kroczy niby w dżungli najeżonej niebezpieczeństwami, oglądając się co chwila czy jaki „kawaler księżycy” nie obsypie go nagle stekiem obelg, po czym ująwszy za klapy marynarki zażąda na wódkę, popierając jednocześnie to żądanie argumentem pięści.

Rozpasanie pewnych elementów, które ni siejąc, ni orząc żyją beztrosko i wygodnie, doszło do form wręcz nie praktykowanych, sprawa stała się tak dalece piekącą, iż rozwinęła się nawet w dyskusji prasowej i wówczas to odezwały się głosy wskazujące jako na jedyny hamulec dla powściągnięcia panoszącego się brutalizmu karę cielesną. Ostatecznie gdyby taki grasant obrzydzący człowiekowi życie, dostał uczciwą porcję batów, byłoby to dla naszej etyki społecznej z mniejszą niewątpliwie krzywdą, niż to, co dzieje się obecnie.

Nie chcemy bynajmniej przeprowadzać analogii między pewnymi typami brutalizmu; na ten, o jakim piszemy powyżej, składa się szereg pozycji natury sięgającej w głąb zagadnień społecznych jak analfabetyzm, nędza, brak opieki społecznej — chcemy natomiast podkreślić, że brutalizm, lub nazwijmy go twardym, ale właściwym imieniem: chamstwo duchowe rozpełzło się niezłym dokuczliwym robactwo po całym prawie organizmie społecznym.

Ten twardy, kanciasty brutalizm obserwuje się w stosunkach pracy, w urzędach, w tramwaju, kawiarni, teatrze — wszędzie. Soczysty słownik a la Wiech nie tylko przeniósł się od dawna z peryferii do śródmieścia, lecz tu właśnie wzbogacił się nową kolekcją wyrażań i powiedzonek... Wytworny pan, odziany wedle ostatniego żurnalu, sypiący przy stoliku w kawiarni bez względu na otoczenie epitetami, których pozazdrościłby mu „w ząbek czesany” mieszkaniec Burakowa czy Annopola — jest zjawiskiem tak spospolitowanym, że obserwuje się go na każdym kroku i na każdym miejscu. Pasażer w tramwaju ustępujący miejsca niepozornie ubranej starowinie, obrzucany jest ironicznymi spojrzeniami, w których bez trudu wyczytuje opinię o sobie: idiota! Nawet piękna pani cedząca przez wykarminowane usteczka wdzięczne nasze psiakrew lub cholera, również nie należy już do unikatów.

Ani nie mnożymy, ani nie retuszujemy specjalnie przykładów, wszyscy mamy je zbyt często w oczach i uszach, by wymagały one literackiego tuszu.

Ten wulgaryzm, zdobywający sobie niestety prawo brutalnego obywatelstwa, przenosi się ze stosunków zewnętrznych w głąb naszego życia społecznego, przenika je i obejmuje dziedzinę po dziedzinie. Utrudnia on życie, czyni je w wielu okolicznościach wręcz nieznośnym. w fatalny sposób wpływa na wzajemne obcowanie i z codziennej areny stosunków czyni boksinerski ring, gdzie człowiek jest „rąbany w szczękę” przez wszystkich bliźnich i współobywateli.

Z zamaszystym kopnięciem nogi wywaliliśmy barierę grodzącą nas od brutalności i wprowadziliśmy do życia elementy obce dotychczas naszej naturze i charakterowi narodowemu. Dzisiejszy brutalizm i wulgarność nie ma nic wspólnego z miłą i wesołą rubasnością, traci natomiast wyraźnie brakiem kultury duchowej i zewnętrznej. Jest świadectwem obniżania poziomu pewnych utrzymywanych dotychczas w równowadze wartości.

Epoka Wersalu nie powróci, bo zniósł ją ciężkie i twarde prawa życia. Nie będziemy nad jej stylizowanym grobowcem załamywali rąk! Ale z odrazą odwrócimy się i cofniemy zawsze przed tym, co ma w sobie duchowe chamstwo i niesmaczny wulgaryzm jak stara, zjedzona potrawa.

LUDOMIR RUBACH

ZA OLZĄ

„Maszerować!” — padł drugiego października roku Pańskiego 1938 mocny rozkaz Naczelnego Wodza.

I graniczny most na Olzie w Cieszynie zadudnił, rozkołysał się trwardym krokiem polskiej piechoty, rozdwo-

rodu polskiego, zawieszona w tej wielkiej chwili wyzwolenia przez spracowane ręce śląskich robotników nad Olzą, rzeką, od której uciekła granica na zachód ku Morawie.

Za żołnierzem polskim, z łaski Opatrzności i rozkazu



Pan. Marszałek Rydz-Śmigły w Cieszynie. Obok z lewej strony gen. Bortnowski.

nił się chrzęstem armat i tanków, rozśpiewał radością wiwatujących tłumów.

Na słupie granicznym biały czeski lew ukrył się wstydliwie w zwojach biało-amarantowej flagi — godła Na-

Wodza niosącym wolność braciom i siostram — mieszkańcom ziemi zaolzańskiej, za uciekającą na zachód granicą biegły w owe dni triumfu myśli wszystkich Polaków i Polek.



Konnica polska na karwińskim bruku.

Lecz niechaj i dziś, gdy opadły z drzew ostatnie złote liście jesieni, która dała nam tyle szczęścia i wróciła Polsce prastarą ziemię piastowską, myśli nasze często wędrują za Olzę, niechaj serca nasze wiążą się z sercami ludu śląskiego w jeden nierozzerwalny łańcuch miłości braterskiej.

Niechaj za myślą idzie czyn, wyrażony pomocą, współpracą, wreszcie ruchem turystycznym. W dwóch małych powiatach, które „powróciły na ojczyzny łono”, jest wszystko, co godne widzenia przez wszechstronnego turystę. Są miasta przemysłowe i miasta historyczne, pełne pamiątek dawnych dziejów i kultury piastowskiej epoki, huty, kopalnie i życiodajne, urodzajne pole, równiny pszenne i góry zielone, uzdrowiska i ciche ustronia dla ludzi życiem zmęczonych, lasy szumiące pieśń odwieczną na chwałę Stwórcy i lud dobry, wierzący, jako te lasy śpiewny.

Zaolzańska ziemia godna jest więc trudu dokładnego jej zwiedzenia i poznania.

Postarajmy się dziś choćby „z lotu ptaka” obejrzeć ją oczyma dziennikarza-reportera.

Przez Zebrzydowice, dawną stację graniczną, jedziemy do Piotrowic, które były przez 20 lat przejściowym punktem granicznym po stronie czechosłowackiej. Zatrzymywały się przed jasnozielonym, obszernym barakiem stacyjnym, nad którego ścianą frontową wisiała tablica z napisem „Petrovice u/ Bohumina” — międzynarodowe ekspresy luksusowe, zdążające od Pragi, Wiednia, Budapesztu i Rzymu, do Warszawy i mrocznej Północy. Teraz już znikł czeski napis, a luksusowe kurierzy nie zatrzymują się więcej w Piotrowicach, które zjedzą do rzędu małego lokalnego przystanku. Dworcem granicznym staje się wspaniale rozbudowany Bogumin, jeden z największych węzłów kolejowych Europy śród-



Piękna szosa prowadzi z Cieszyna do Cierlicka.



Sanatorium pod Jabłonkowem.



Na nowej granicy polsko-słowackiej na przelęczu Jabłonkowskiej.



Z okolic Cierlicka.



Krajobraz pod Cieszynem.



Droga do Domastawic.



Gen. Bortnowski, d-ca grupy operacyjnej „Śląsk”, która zajęła Śląsk zaolzański.



W Cieszynie armia defiluje przed swym wodzem i ludem śląskim.

kowej i jedno z najbardziej uprzemysłowionych miast na Zaolziu. Tu krzyżują się wielkie magistralne kolejowe, łączące Bałtyk z Adriatykiem i Morzem Śródziemnym, Bałkany i Półwysep Apeniński z Niemcami, Polską i krajami bałtyckimi, wieczne miasto — Rzym z Warszawą.

O wielkości bogumińskiego węzła kolejowego świadczy wymownie ponad 100 km torów manewrowych oraz liczba przepuszczanych i zestawianych tu pociągów, która nieraz dochodzi do cyfry — 300.

Przy tym imponującym węźle kolejowym rozwijają się i porastają w dobrobyt dwa miasta — Bogumin Nowy, położony tuż przy dworcu, i Bogumin Stary, trzytysięczna osada nad brzegami Odry. Oba Boguminy łączy linia tramwajowa. W Boguminie nad Odrą znajdują się fabryki chemiczne, produkujące m. in. farby i pokosty, mydło i glicerynę.

Właściwym miastem jest dziesięcioletni Bogumin Nowy. Jest tu kilka większych zakładów przemysłowych, jak np. walcownia rur, rafineria nafty, a nawet łuszczarnia ryżu. Bogumin przypomina nieco Katowice. Jest tak samo na wskroś nowoczesnym miastem, otoczonym wieńcem kominów fabrycznych. Nad jego regularnymi, czystymi ulicami i placami, kwadratami bloków mieszkalnych i czerwonymi gmachami urzędów i szkół niebo zawsze jest zasnuwane smugami dymów, a słońce ma kolor miedzi.

Z Bogumina prowadzi droga przez węzłowa torów kolejowych, przez ludne osady do Orłowej i Zagłębia Karwińskiego. Gdy mijamy Zabłocie na zachodzie za Ostrawicą dostrzegamy zarysy Morawskiej Ostrawy i potężnych zakładów przemysłowych w Witkowicach. Mimo woli myślimy, że przecież i tam w dolinie mgłami zasnuwanej Ostrawicy biją polskie serca i dźwięczną polską mową lud modli się do Boga. Ale nie ma czasu na snucie refleksji, bo oto spoza zielonych wzgórz ukazują się Orłowa — miasto, które w latach czeskiej niewoli było polskim sercem Zaolzia. Tu mieściło się doniedawna jedyne polskie gimnazjum na Śląsku Cieszyńskim,



Krajobraz z okolic Bystrzycy.



Krajobraz z okolic Mostów.



Stara uliczka w Jabłonkowie.

„...Szczęśliwy jestem, że na czele żołnierzy polskich reprezentuję tu Polskę. Ale nic nasze czyny nie znaczą wobec waszych czynów, wobec czynów matek śląskich, które swymi łzami i nauką od wczesnej młodości wpały dzieciom mowę i modlitwę ojczyzną. Bez tej siły, którą tworzy rodzina — matka i ojciec, nasze czyny byłyby niczym. Gdyby nie czyny matki-Polki, nasze przyjście tutaj byłoby przyjściem do obcych. — Dziękuję wam, matki polskie, za to. Niech żyje wielka siła, która was prowadziła i która zwyciężyła”.

(Z mowy gen. Bortnowskiego w dn. 4. X br. w Jabłonkowie.)

kierowane wśród szykan i prześladowań przez dzielnego człowieka dyr. Feliksa, tu skupiał się ruch artystyczny i umysłowy całego Śląska Cieszyńskiego w ramach śląskiego Związku Literacko-Artystycznego, do którego należą poeci (Adolf Fierla i Piotr Kubisz), malarze i muzycy zaolzańscy. Orłowa, dzięki swemu malowniczo położeniu na zboczach łagodnych wzgórz, wśród przepychu ogrodów, dzięki wspaniałemu kościołowi farnemu, krójącemu nad całym miastem, należy do najładniejszych miast zaolzańskich. Jest niby bukiet kwiatny, rzucony ręką Stwórcy na czarną, pooraną szachtami, zasnutą dymami ziemię Zagłębia Karwińskiego.

Krajobraz Zagłębia Karwińskiego przypomina do złudzenia panoramę innego zagłębia węglowego — Dąbrowskiego. Pasma hałd, potężne cielska fabryk, gigantyczne dźwigi, rozpięte nad ziemią sznury kolejek elektrycznych, kłęby dymów zasłaniają niebo ziemi, która zczerniała żużlem, rdzą rudej zieleni, karmi bogactwem swego koksującego wnętrza pracowity lud górniczy. Dookoła Karwiny cały kraj drży rytmem nieustannej pracy, a obcy tym stronom wędrowiec gubi się w labiryncie hut i kopalń. W Zagłębiu Karwińskim z 16 kopalń wydobywa się rocznie około półtora miliona ton węgla, który należy w Europie do najlepiej koksującego. To też około 70% przerabia się na koks. Dotychczas nie posiadała Polska dobrego koksu. Sprowadzaliśmy go właśnie z Karwiny.

Po trudach zwiedzania Zagłębia Karwińskiego, chętnie odpocznie każdy turysta w starożytnym historycznym Frysztacie, gdzie go w „Domu Katolickim” gościnnie podejmować będą rodacy zaolzańscy. Frysztat należy do najstarszych miast Śląska Cieszyńskiego. O jego sędziwym wieku wymownie świadczy wieża ratuszowa w rynku, ozdobiona ornamentami herbowymi książąt piastowskich. Obecnie Frysztat jest ośmiotysięcznym miastem powiatowym, uprzemysłowionym i słynnym z położonego tuż u jego granic kąpieliska — Darkowa, który jest własnością hrabiego Larich-Mönicha, przemysłowego potentata na Zaolziu.

Darków leży nad Olzą w odległości 2 km od Frysztatu, bardziej na południe. Posiada wspaniałe urządzenia i słynne kąpiele jodo-bromowe, odwiedzane tłumnie przez Niemców i Czechów. Dotychczas Polacy rzadko korzystali z dobrodziejstw Darkowa. Obecnie niewątpliwie

„Jesteśmy w Trzyńcu, który zajęliśmy. Widać tu, że najużyźszą siłą jest ta siła, jaką zdołała zaszcześcić matka-Polka polskim słowem i polską modlitwą. Ta siła pozwoliła przetrwać wam wieki niewoli i pozwoliła utrzymać polskość. Ona też sprawiła, że żołnierz polski mógł tu wrócić. Jej oddajmy cześć”.

(Z mowy gen. Bortnowskiego w dn. 4. X br. w Trzyńcu.)



Gen. Bortnowskiego wita Bogumin chlebem i solą.



Defilada w Boguminie w dn. 11. X br.

Powitanie polskich wojsk w Orłowej w dn. 10. X. br.





Rynek w Jabłonkowie z figurą Matki Boskiej.

z jego życiodajnych darów będziemy bardziej hojnie korzystali. Z Darkowa, dobrze zagospodarowanym, urodziwym krajem rolniczym, wśród ludnych, schłodnych i kwitnących dobrobytem osad i wsi, zdążamy na południe. Przez Stonawę, największy ośrodek spółdzielczy na Zaolziu, docieramy do Cierlicka, gdzie w sosnowym lesie odnajdujemy miejsce „startu do wieczności” Żwirki i Wigury. Przed kaplicą-mauzoleum pochylamy czoła, oddajemy hołd symbolowi Bohaterskiej Ludzkości, w walce z żywiołami pragnącej opanować potęgę przyrody.

I znów krajem, w którym białe kościołki na zielonych wzgórzach strzegą spokoju pracowitych rolników, zdążamy w kierunku siniejącego na horyzoncie pasma gór Jabłonkowskich. Po drodze wstępujemy do Trzyńca — miasta stali. Jest to ośrodek przemysłu hutniczego, w którym przetwarzana jest ruda i wyrabiane są szyny, belki żelazne, słynna stal trzyńciecka itd.

Za Trzyńcem nie spotykamy już fabryk ani hut. Wzgórza będą coraz wyższe, wsie coraz cichsze, lasy coraz większe. Przez Bystrycę, Nawsie dotrzemy do Jabłonkowa — miasta najpiękniejszego w Beskidzie. Strzeże go figura Matki Boskiej w rynku, który jest otoczony staroświeckimi domkami i krętymi zaułkami.

Z dala, na uboczu wśród lasów, bieleją nowoczesne sanatoria, ale miasto żyje, jak dawniej — spokojnie. Kraj dookoły — niby z bajki wyczarowany! Lasy po kształtnych górach na Wielkim i Małym Połomie szumią do dziś legendy o śląskim zbójniku — Ondraszku, pieśń



Plac płk. Becka w Cieszyń Zachodnim.

pastusza zaprasza utrudzonego wędrowaniem turystę w zaciszne doliny lub do wsi, które za lat kilka przeistoczą się zapewne w modne miejscowości letniskowe.

Łomna, Ligotka Kameralna szykują się do zwycięskiej konkurencji o narciarzy w zimie a o letników w lecie ze Zwardoniem i Wisłą.

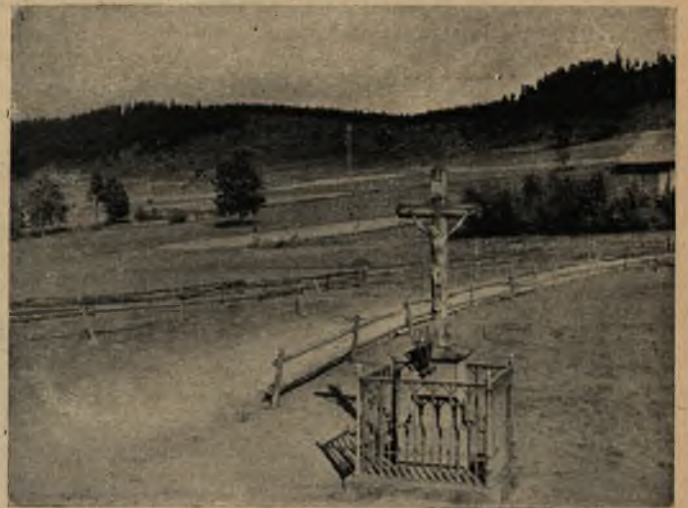
Nie ma bowiem piękniejszego widoku nad zachód słońca nad przełęczą Jabłonkowską.



Pięknego mostu na Olzie troskliwie strzeże żołnierz polski.



Kościół w Orłowej.



Figurka Chrystusa ukrzyżowanego na przełęczy Jabłonkowskiej.

O NALEŻYTE TRAKTOWANIE RODZINY

Błędem zasadniczym liberalistycznego ustroju społecznego było zaniedbanie rodziny. W społeczeństwie widziano tylko zbiór jednostek a nie związek rodzin. Pojęcia marksistowskie w tej dziedzinie nie są wcale lepsze. Sam Marks widzi w robotniku nie ojca rodziny, lecz wyłącznie źródło energii i pracy. Stąd według zasad sprawiedliwości zamiennej robotnikowi należy się ściśle taka zapłata, by pozwoliła mu odzyskać zapas energii sprzedany pracodawcy. Pojęcia chrześcijańskie w tej dziedzinie są krańcowo odmienne. Praca, to nie tylko sprzedaż pewnej ilości energii; to funkcja społeczna, twórcza dla społeczeństwa; to twórca dóbr naszej cywilizacji. Kto swe siły i zdolności oddaje dla wytworzenia tych dóbr materialnych, czy niematerialnych, ma prawo do takiego udziału w dobrach wytworzonych, by nie tylko, jak twierdził Marks, mógł odzyskać zużytą do pracy energię, lecz by on sam i jego rodzina mogli prowadzić życie godne cywilizowanego człowieka. Stąd prosty wniosek, że wynagrodzenie za pracę musi być proporcjonalne nie tylko do ilości pracy, ale i do liczebności rodziny pracownika. Jest to tak zwana płaca rodzinna, której jako wyrazu sprawiedliwości społecznej domagali się w swych encyklikach papieże Leon XIII i Pius XI. Ustrój społeczny, który tych wymagań nie spełnia nie jest z punktu widzenia chrześcijańskiego sprawiedliwy.

Większość krajów europejskich dostosowuje się w pewnej mierze do tych wymagań przez tak zwane „zasiłki rodzinne”. Motywem nie jest tu zwykle poczucie sprawiedliwości, lecz polityka populacyjna. Pragną w ten sposób powstrzymać katastrofalny spadek urodzin. Zasiłek rodzinny ma być pewnego rodzaju premią za liczne potomstwo. Bez względu na motywy, zasiłki te są prawdziwym dobrodziejstwem dla rodzin i ogromnie ułatwiają należyte wychowanie przyszłych obywateli.

W Polsce mieliśmy całkiem realne poczynania w tym kierunku. Już istniały zasiłki rodzinne wypłacane pracownikom państwowym i samorządowym. Można było oczekiwać, że system ten się rozwinie, udoskonali i licznym rodzinom zapewni możliwość wychowania tego skarbu narodowego, jakim jest dziecko.

Tymczasem system zasiłków rodzinnych nie tylko nie został rozbudowany — lecz wprost przeciwnie zupełnie zaniechany.

Można zrozumieć, że trudne warunki ekonomiczne nie ułatwiły wytrwania na tej bezsprzecznie słusznej drodze. Pomimo to jednak tak sprawiedliwość społeczna, jak i dobro państwa wymaga, by na nią powrócić. Ogromny procent młodego pokolenia nie posiada normalnych warunków rozwoju fizycznego i umysłowego. Ogromny jest procent dzieci niedorozwiniętych fizycznie, niedostatecznie odżywionych, źle ubranych, mieszkają-



Od góry: Bogumin zasnuty mgłą.

W środku: Góry Jabłnkowskie.

Na dole: Olza niegdyś dzieliła, dziś łączy.

cych w warunkach wysoce niehigienicznych. A przecież to pokolenie za lat kilkanaście będzie musiało na swych ramionach dźwigać oręż Rzeczypospolitej i brzemień odpowiedzialności za jej losy.

Sprawy te są na ogół znane, ale nie są głośne, nie wytrącają nikogo z równowagi. Dopiero ostatnie tygodnie przynoszą poważne głosy na ten temat i żywe odgłosy w opinii publicznej. Na uwagę zasługuje broszura dra J. Sarapaty, która w zwięzłym zarysie przedstawia jak w różnych krajach zorganizowano pomoc rodzinie.

Nasze warunki nie pozwolą może na wierne naśladowanie wzorów zagranicznych, ale zapoznanie się z tymi wzorami winno stać się punktem wyjścia do stworzenia własnego, do naszych możliwości dostosowanego, dzieła wspomagania rodzin.

Za zgodą Szanownego Autora z broszury tej przytaczam kilka danych ilustrujących urządzenie francuskie w tej dziedzinie.

Co dla rodziny robi Francja?

Motywy decydującym o wprowadzeniu „zapłaty rodzinnej” był katastrofalny spadek urodzin, grożący poważnym wyludnieniem kraju. P. Sarapata podaje, że po wojnie przyrost naturalny we Francji wynosi tylko 1,4 pro mille. Statystyki nowsze, choć nie wiem czy absolutnie dokładne, wykazują już tylko ubytek ludności w stosunku 0,3 pro mille w ciągu roku. Jeśli jest jakiś przyrost, to wśród cudzoziemców. A trzeba pamiętać, że ten współczynnik ubytku normalnie nie pozostaje na tym samym poziomie, lecz raczej wzrasta, jeśli jakieś nowe czynniki go nie zatrzymają.

Stąd „premiowanie” licznych rodzin w formie zasiłku rodzinnego. Zasiłek rodzinny, „to dodatek wypłacany pracownikowi ze względu na jego obowiązki rodzinne”. Dodatek ten wypłacany jest całkowicie przez pracodawcę. Ani państwo, ani pracownik nie ponoszą z tego tytułu żadnych obciążeń, chyba że państwo samo jest pracodawcą, bo wtedy ponosi kosztą zasiłków zarówno jak każdy pracodawca. Charakterystyczne jest, że zasiłki te nie są bynajmniej wyższe dla wyższych funkcjonariuszy — wzrastają tylko z ilością dzieci i w zależności od miejsca zamieszkania, a nie liczą się z wysokością pensji zasadniczej...

Przeciw praktyce zasiłków wysuwano trudność, że pracodawca dla swego interesu nie będzie przyjmował pracowników posiadających liczną rodzinę i wobec tego ojcowie rodzin pozostaną bez zajęcia; system zasiłków miałby wprost przeciwny skutek. Trudność tę, pozornie tylko poważną, rozwiązano we Francji w sposób bardzo prosty i skuteczny, przez tak zwane kasy kompensacyjne.

Mianowicie pracodawca nie wypłaca zasiłków bezpośrednio swym pracownikom, lecz wpłaca do kasy na ten cel pewną sumę oznaczoną ustawowo. Wysokość tej sumy jest niezależna od tego ile dzieci posiadają jego pracownicy — lecz jest proporcjonalna do ilości zatrudnionych pracowników i do dochodu, jaki przedsiębiorstwo przynosi. Z kasy zasilanej składkami pracodawców danego okręgu wypłaca się później pracownikom należne im zasiłki rodzinne.

Poszczególne kasy są to instytucje autonomiczne i prywatne; dla pracodawców jednak obowiązkowe jest należenie do jednej z tych kas i płacenie oznaczonych składek. Wysokość tych składek waha się w zależności od warunków lokalnych — to znaczy od różnej rentowności przedsiębiorstw w różnych departamentach i w różnych gałęziach życia gospodarczego.

Inicjatorem tego systemu był inż. Emil Romanet już w r. 1916.

„Pierwsza taka kasa kompensacyjna powstała w 1918 roku w Lorient. W dniu 1 stycznia 1920 r. istniało już 6 kas kompensacyjnych, grupujących 50.000 pobierających zasiłki rodzinne i w ciągu roku dokonały przelewu 4.000.000 fr. z tytułu tych zasiłków. Ilość tych kas corocznie w szybkim tempie wzrastała tak, iż na 1 stycznia 1932 r. ukonstytuowały się aż 244 kasy kompensacyjne. Kasy kompensacyjne na całym obszarze Francji objęły w 1932 r. 1.850.000 pracowników i przyznały 380.000.000 franków zasiłków rodzinnych. W roku 1937 zasiłki rodzinne wraz z zasiłkami przelewanymi przez państwo na rzecz swoich urzędników, obarczonych dziećmi, dosięgły prawie 2 miliardy franków”...

Ponieważ, jak wspominałem, warunki ekonomiczne w różnych okolicach i różnych działach gospodarki są różne, ustawodawca ustala tylko minimalne i maksymalne stawki obowiązujących zasiłków. Granice ustawowo określone w r. 1937 były następujące:

„Najniższa skala na 1 maja 1937 r. wynosiła:

15 fr. mies. dla pracow., mającego na utrzym. 1 dziecko
30 fr. mies. dla pracow., mającego na utrzym. 2 dzieci
60 fr. mies. dla pracow., mającego na utrzym. 3 dzieci
100 fr. mies. dla pracow., mającego na utrzym. 4 dzieci
75 fr. mies. dla każdego następnego dziecka.

„Najwyższa skala w powyższym czasie wynosiła:

80 fr. mies. dla pracownika, mającego 1 dziecko
200 fr. mies. dla pracownika, mającego 2 dzieci
380 fr. mies. dla pracownika, mającego 3 dzieci
630 fr. mies. dla pracownika, mającego 4 dzieci i
250 fr. mies. dla każdego następnego dziecka.

„W Paryżu rodzina złożona z siedmiorga dzieci otrzymywała w 1937 roku 12.000 franków rocznie tytułem tych zasiłków rodzinnych.

„Z uwagi na późniejszy spadek franka, skala zasiłków uległa ostatnio znacznej podwyżce”.

Dla rodzin pracowników wiejskich wprowadzono zasiłki znacznie później, bo dopiero 5 sierpnia 1936 r. i są one znacznie niższe niż w miastach.

„Zasiłki rodzinne na wsi wynoszą:

25 fr. mies. dla pracownika, mającego 1 dziecko
60 fr. mies. dla pracownika, mającego 2 dzieci
110 fr. mies. dla pracownika, mającego 3 dzieci
190 fr. mies. dla pracownika, mającego 4 dzieci
270 fr. mies. dla pracownika, mającego 5 dzieci
80 fr. mies. dla każdego następnego dziecka”.

Składki wpłacane przez pracodawcę do kasy kompensacyjnej wynoszą około 4% sumy wypłacanej pracownikom w ciągu kwartału.

Kasy kompensacyjne z biegiem czasu rozszerzyły swą działalność poza wypłacaniem zasiłków. Zorganizowały opiekę nad matką i niemowlęciem. 50 kas kompensacyjnych zatrudnia około 500 lekarek i asystentek, których zadaniem jest odwiedzać matki i udzielać im potrzebnych porad. Takich wizyt lekarskich w rodzinach robotniczych bywa rocznie około 850.000. Te same kasy organizują i ułatwiają wyjazdy dzieci na kolonie letnie, wydają publikacje, poświęcone wychowaniu rodzinnemu i zawodowemu. Taką samą rolę spełnia specjalny instytut filmowy „Ecran Francais”. Rezultaty tej szeroko zakreślonej działalności dla dobra rodziny są bezsprzecznie poważne. Przebywając nieraz w różnych ośrodkach robotników polskich we Francji byłem mile uderzony tym, że dzieci tych robotników swym zewnętrznym wyglądem, ubiorem daleko odbiegają od poziomu

swych rówieśników w sferach robotniczych w Polsce. Przypominają raczej dzieci tak zwanej „drobnej burżuazji”, średnich urzędników, drobnych kupców polskich. Na ogół znać po nich pewien dobrobyt.

Jest to łatwo zrozumiałe, jeśli się zważy, że ojciec posiadający np. 8 dzieci otrzymuje dla nich zasiłek równy lub prawie równy jego normalnemu zarobkowi. Oto co znaczy: traktować rodzinę z realną, czynną życzliwością. A przy tym darmo jest nie tylko szkoła, ale i podręczniki szkolne i materiały piśmienne.

Stan obecny zasiłków cyfrowo przedstawia się następująco: „na 1 stycznia 1938 r. 222 kas kompensacyjnych i 80 poszczególnych urzędów dla zasiłków rodzinnych grupowało 280.000 przedsiębiorców, 5.550.000 otrzymujących pobory, 1.920.000 rodzin otrzymujących zasiłki, 3.420.000 dzieci korzystających z dobrodziejstw tych instytucyj.

Wysokość zasiłków przelewanych w 1936 r. dosięgła kwoty 1.680.000.000, na 1937 r. przewidywany był przelew w wysokości ponad 2 miliardy franków.

EUGENIUSZ SZERMENTOWSKI

BOSKI NEKTAR A KWESTIA WÓDY...

Co podać gościom, kiedy przyjdą do nas z wizytą?

Co pić w knajpie, kiedy się spotkamy z przyjaciółmi lub omawiamy interesy?

Czy trzeba na te głupie pytania odpowiadać? Czarna kawka, jakieś domowe ptifurki, czy może woda kryniczna?... A może sok malinowy? Może nudna lemoniada? Dusza się wzdryga na te nazwy i potrawy.

U nas każdy ogląda się za sznapssem. Przyjęcie bez wódki jest nudne i bezbarwne. Ptifurki domowego wypieku przyjmują się ze wzgardą i lekceważeniem. To dobre dla dzieci, dla panienek...

Woda... woda...

Och, sam nic jestem, niestety, bez grzechu. Trąbię w domu, trąbię na wizycie, trąbię w restauracji. Taki już nasz polski obyczaj. Tak się przyjęło. Taka jest tradycja.

A jednak — dziwna rzecz — kiedy jestem za granicą, nie piję wódki. W Jugosławii dzień w dzień wypijałem sobie bez szkody dla zdrowia cały litr jakiegoś „Dingacza” albo „Zlatnej Kaplicy” albo nawet zwykłego, ordynarnego „Prosku”, z którego Francuzi robią u siebie potem wspaniałą Medoc, Bordeaux, Haut Sauterne nawet...

We Francji każdy wypija hektolitry wina i do głowy mu nawet nie przyjdzie poprosić o wódkę. To samo w Italii bratniej. Idem — w Rumunii, w Bułgarii, w Hiszpanii...

Próżno i daremnie walczy u nas towarzystwo „Trzeźwość” z alkoholami, z wódką, z przekąskami, barami. Pan Jan Szymański, zasłużony pionier tego ruchu, jak Don Kichot zмага się z setkami tysięcy flaszek, propagując trzeźwość, kreśląc piekielne skutki picia. Daremnie sławny Witkacy w swoich „Narkotykach” rozprawia się ze straszliwym wrogiem $C_2 H_5 O H$, pisząc wręcz, że alkohol jest nudny. Nudny, a przecież taki atrakcyjny!

Więc właściwie czy nie ma co innego wlać gościom do kieliszków? Czy tylko $C_2 H_5 O H$, przefarbowane chytrze raz na wiśniak, raz na alasz, raz na jakieś „tutti-frutti”, tj. jakąś nalewkę na wszystkich możliwych

Koszty różnych usług społecznych wyniosły 20 milionów franków”.

Nie znaczy to, by we Francji nie spotykało się dzieci biednych, zaniedbanych. Ale są to raczej rzadkie wyjątki. Osiągnięcia francuskie w tej dziedzinie są naprawdę wielkie. Nie można oczekiwać, byśmy w Polsce szybko uzyskali podobne rezultaty. Francja jest przecież krajem bez porównania bogatszym od nas. *Ale nie można pod tym pretekstem zaniedbać się zupełnie.* Stan obecny jest groźny dla rodzin polskich.

Nie potrzeba tego tłumaczyć pracownikom. Twardą lekcję poglądową na ten temat daje im codzienne życie. Trzeba, by konieczność reform w tej dziedzinie zechcieli zrozumieć pp. pracodawcy, a przede wszystkim największy pracodawca: państwo. Prawda, że stoi przed nami tyle innych spraw doniosłych, ale i o tej zapominać nie wolno. Wiadomo, że na tyle innych spraw mniej palących znaleziono środki. Wiemy, że nasze państwo, gdy naprawdę chce, dużo może.

owocach, które przez całe lato wrzuca się do słoja, potem zaś zalewa spirytusem...? Że niby owoc, więc witaminy, więc może nawet krzepiące, zdrowe!

A tymczasem za granicą wódki się prawie nie pija. Za to pija się teraz co innego, coś co jest tanie, w smaku wspaniałe, w skutkach przyjemne, zdrowe jak balsam, krzepiące jak nektar. Więć we Francji macie „Cydre”, w Niemczech to się nazywa „Süszmost” albo „Apfelsaft”. Zwyczajnie zaś — owoc w płynie.

Trudno sobie po prostu wyobrazić, ile tego teraz idzie. Francuzi i Niemcy mają przecież własne, doskonałe i tanie wina. Niemcy ponadto — znakomite piwa. Kraj piwoszów, zdawałoby się, a jednak tego moszczu owocowego, tego owocu w płynie wypijają kolosalne ilości. Trzeba dopiero wziąć do ręki statystykę, żeby czarno na białym zobaczyć, że ta produkcja soków owocowych rośnie jak na drożdżach, że o ile w r. 1926 Niemcy wypijały tego soku 2 miliony litrów, w 1930 roku — 25 milionów litrów, to w r. 1935 już trąbią tego płynu 72 milioniki litrów, a w r. 1937 wypili prawie sto milionów litrów!

Tyle statystyka, tyle cyfry.

Skoro się już tyle pisze, trzeba więc także oznajmić, co to właściwie ten Cydre, ten Apfelsaft, ten moszcz owocowy. Zwyczajnie — to sok wytloczonych świeżych, niesfermentowanych owoców bez dodania jakichkolwiek środków chemicznych. I tyle? I tyle. Proste? Proste. Sok taki zawiera wszystkie składniki (z wyjątkiem tłuszczu) jakich potrzebuje ludzki organizm. Więć: sole owocowe, cukier, białko i witaminy. Przerabia się taki sok z następujących owoców: z jabłek, wiśni, porzeczki, rabarbaru, moreli, poziomek, jagód i winogron.

Świeżo właśnie odbył się w Berlinie międzynarodowy, któryś tam z kolei, kongres płynnego owocu. Więć i takie kongresy jeszcze się odbywają! Kongres zgromadził kilkuset abstynentów z całej Europy. Wygłoszono referaty, postanowiono wziąć się energicznie do propagandy tego niezrównanego napoju, którym śmiało można napełnić kieliszki bez szkody dla zdrowia, nerwów, a ku radości i przyjemności biesiadników.

Ten płyn u naszych zachodnich sąsiadów już od szeregu lat cieszy się ogromną popularnością i, jak mówią cyfry, konsumacją. Przemysł przetwórczy tworzy nową gałąź życia gospodarczego: przemysł i handel bezalkoholowy. Pomaga także skutecznie w walce z bezrobociem. Niemcy słusznie zagadnienie tego przemysłu wiążą ściśle z pracą nad wzmoczeniem siły i tężyzny fizycznej. Pobór rekruta co rok ukazuje tam element mniej cherlawy, ale za to bardziej dziarski, zdrowy. Niewątpliwie przyczynia się do tego ów owoc w płynie, który na Zachodzie znany jest od wielu lat. Dość powiedzieć, że taka Szwajcaria dziś poszczycić się może 12 milionami drzew owocowych (po trzy drzewa wypada na każdego mieszkańca!). A drzewka te sadi i pielęgnuje właśnie dla produkcji owocu w płynie.

W Niemczech znowu ogromny popyt na ten płyn owocowy sprawił tyle, że w kraju zabrakło na razie owoców i drzew owocowych. A tu konsumpcja rośnie z roku na rok. Więc doszło do tego, że Niemcy od kilku lat ogalającą drzewa owocowe swoich sąsiadów: sprowadzają i skupują owoce z Polski, z Węgier, z Jugosławii, z Rumunii, z Włoch. Setki tysięcy broszurek uczy ludzi produkcji tego płynu, który krzepi, który daje krzepę jednostkom, a więc i całemu narodowi. Instruktorzy jeżdżą od miasteczka do miasteczka, od wsi do wsi, uczą, pokazują, demonstrują niesłychanie prostą i prymitywną produkcję tego soku, tego nektaru, tego moszczu.

Więc może by i u nas czas już zacząć produkcję owocu w płynie. Mamy owocu nadmiar, skoro za psi grosz oddajemy go sąsiadom, skoro na kresach, w Wileńszczyźnie, w Pińszczyźnie dochodzi do tego, że jabłkami i śliwkami karmi się... świnię, a nikomu nie przyjdzie na myśl przerobić ten owoc na płyn, który jest specjałem nad specjałami.

Kraje południowe nie mają świerkowych choinek. Ale widać, że tamtejsze cedry godnie je zastępują.



Jeżeli wypijamy w Polsce w ciągu jednego roku około 250 milionów litrów wódki (obliczenia tow. „Trzeźwość”), jeżeli przepijamy w ciągu roku ni mniej ni więcej tylko 1 miliard rocznie, 1.000.000.000 złotych! to już nie mówiąc o tym, co za ten miliard złotych można by pobudować (np. 200.000 domków po 5.000 zł każdy!) — można by i należałoby w końcu pomyśleć o zwękslowaniu trochę na płyny bezalkoholowe, na płyny zdrowe, mniej szkodliwe, tańsze, smaczniejsze.

Produkcja prosta, nieskomplikowana. Fabryczka, już na skalę przemysłową, kalkuluje się komicznie tanio. Cała taka fabryczka dla przerobienia rocznego 1.000 cennarów owoców rocznie kosztuje zaledwie około 3.000 złotych! Za granicą takich fabryczek jest tysiące. U nas — zaledwie kilka: w Kamienicy na Śląsku, w Kościanie, w Starogardzie, w Poznaniu.

Ale o tych fabryczkach nie wie pies z kulawą nogą. Skutkiem małej produkcji ceny tego napoju u nas wciąż jeszcze są wysokie. Propagandy żadnej nie ma, nikt się tym nie zajmie, nikt o tym nie pomyśli. Trzeba by więc w pierwszym rzędzie zainteresować tą produkcją prasę, radio, trąbić, pisać, nawoływać, pouczać, oświecać. Taki „Deutsche Fraunwerk”, kolosalny związek kobiet niemieckich, przeprowadził na ten temat w r. 1936 na terenie Niemiec 25.000 kursów i wykładów, i tę akcję informacyjną prowadzi na terenie swoich 22.000 placówek lokalnych, podkreślając potrzebę odżywiania i uchronienia cennych środków odżywczych przed zniszczeniem.

Organizacje kobiece w Polsce mają wdzięczny teren do pracy. A firmy, produkujące u nas owoc w płynie powinny zakrzętnąć się żywiej koło reklamy, propagandy, obniżyć ceny, rzucić na rynek setki tysięcy tych flaszek z owocem w płynie, dać go szerokim masom i odciągnąć je nareszcie, chociaż stopniowo, od wódki!...

Mały Jurek zadecydował, że ta choinka będzie najlepsza.



ŚP. ALEKSANDER MICHAŁOWSKI, WIRTUOZ, PEDAGOG I KOMPOZYTOR

Śmierć Aleksandra Michałowskiego odbiła się tragicznym echem w całym kraju. Znakomity szopenista, nauczyciel kilku pokoleń pianistów polskich, kompozytor a jednocześnie człowiek zacny, którego długie życie zrosło się niepodzielnie z Warszawą, Michałowski pozostawił po sobie na długie lata nie tylko wzniosłe wspomnienie, ale i żywe ślady swojej działalności artystycznej. To też jest rzeczą niezbędną odmalowanie w syntetycznym ujęciu sylwety wielkiego artysty, a zarazem przekazanie żyjącym wiadomości o jego długoletniej, jakże cennej działalności muzyczno-pedagogicznej.

Aleksander Michałowski przychodzi na świat przed 87 laty na Podolu, jako syn Konstantego i Róży z Regulskich. W malowniczym Kamieńcu spędził artysta pierwsze lata swojego dzieciństwa. Do muzyki zaprawiała go najwcześniej matka, udzielając mu już w siódmym roku życia pierwszych lekcji gry fortepianowej. Śnać musiały być owocnymi te wskazówki matczyne, skoro w trzy lata później dziesięcioletni Oleś waży się na wykonanie tak trudnego utworu, jakim jest „Concertstück” Webera.

Widząc tak wybitne zdolności chłopca rodzina postanawia kształcić go poważnie w muzyce. Rzecz szczególna, że dziesięcioletni pianista pracował przez kilka następnych lat samodzielnie, w Kamieńcu nie było bowiem poważnego nauczyciela. „Nasz Oleś”, pisze Michał Rolle, „chyba już w kołysce śnił o fortepianie. Bęben, który zaledwie odrósł od ziemi, wodził już palcami po klawiaturze”. Zamiłowanie do tego odziedziczył po mieczu i po kądzieli. Ciotka jego, Idalia z Michałowskich Kalińska, była słynną pianistką. Regulscy również odznaczali się wielką muzykalnością. Skoro (w latach gimnazjalnych) zawitał przelotnie do Kamieńca, godzinami tkwił u wuja swego przy fortepianie. Jesienią roku 1867 następuje ważny moment w życiu naszego pianisty. Po ukończeniu szkoły średniej rodzina zezwala mu na wyjazd za granicę. Michałowski wybiera Lipsk, o którym dochodzą go wiadomości, że jest to Mekka dla pianistów. Tam bowiem uczą mistrze tej miary, co Coccius i wielki Moscheles. Po przybyciu do Lipska, szesnastoletni Michałowski zapisuje się do tamtejszego konserwatorium. Niestety, na wstępie spotyka go zawód. Moscheles jest już zrutynizowanym starcem, nie czułym na wieść młodości, zubożniałym na nowe prądy. Jego suche wskazania nie potrafiły rozbudzić w pełnym zapale młodzieńcu chęci do pracy. I Coccius również nie okazał się wnikliwym pedagogiem. Toteż Michałowski nie za-

bawił dłużej w Lipsku. Daje się słyszeć jedynie raz na dorocznym popisie Konserwatorium w sali słynnego Gewandhanzu. Gra koncert e-mol Chopina, ten sam, który przez długie lat dziesiątki nas czarował. Pomimo

uznania profesorów i publiczności opuszcza Lipsk i udaje się do Berlina, gdzie prowadzi dalsze studia fortepianowe u Tausiga. Tym razem spotyka się z zainteresowaniem ze strony profesora.

Tausig poznaje się na talencie Michałowskiego; widzi w nim nie tylko niepospolite dane techniczne, ale i niezwykle wyczuć stylu romantycznego. O talencie jego gry można by napisać tomy. Tajniki jej podpatrzył i może najtrafniej scharakteryzował ulubiony uczeń, prof. Smidowicz. Już Antoni Rubinstein, sławny pianista rosyjski, zachwycał się w r. 1876 niezwykle sprawną

ścią palców Michałowskiego i zaliczał go do rzadkiego szeregu „urodzonych pianistów”.

Smidowicz, mający sposobność (jako zięć Michałowskiego) słyszenia gry artysty w zaciszu domowym, ma w danym razie wiele do powiedzenia.

„Ręka Michałowskiego, szeroka w dłoni, a cienka w przegubie, dopomagała mu do osiągnięcia tonu ogromnego i pełnego w brzmieniu. Ogromna elastyczność palców czyniła (u M.) wszystkie gamy i szczególnie — trele wartkimi i przejrzystymi. Gdy sobie jeszcze uprzymomimy dokładną znajomość i głębokość wnikięcia w dzieła takich mistrzów, jak Bach i Mozart, a szczególnie — romantyków z Szumanem i Szopenem na czele — podziwiamy wszechstronność tego wielkiego artysty”.

Mając już powyższe dane, nabyte bądź u Tausiga, bądź też własną i bardzo krytyczną pracą, powraca Michałowski do kraju i roku 1874 daje pierwszy koncert w Warszawie. Ten występ na wskroś udany zadecydował o osiedleniu się artysty w stolicy. Współczynnikami tej decyzji był również szczery sentyment i patriotyzm Michałowskiego. Sześć z górą dziesiątków lat przeżył wielki pianista w Polsce, odrzucając w myśl zasad swoich proponowaną mu zawrotną karierę zagraniczną.

U schyłku ubiegłego stulecia obejmuje M. klasę fortepianu w warszawskim Konserwatorium (zwanym naówczas Instytutem Muzycznym) w otoczeniu tak świetnych pedagogów, jak Robert Strobl, Aleksander Różycki, a następnie — Sygietyński. Klasę tę prowadzi on w ciągu lat kilkunastu; przysporzyła ona Polsce setek najwybitniejszych, do dziś dnia żyjących pianistów. Dla tej umiłowanej przez siebie pedagogii zrezygnował artysta



Aleksander Michałowski przy fortepianie.

z rozgłosu za granicą. Dla tej żmudnej i pozornie niewdzięcznej pracy pozostał aż do zgonu w ojczyźnie. Nie sposób jest wyliczyć tych paru tysięcy uczniów i uczennic, jacy wyszli w świat we wspomnianym wyżej okresie profesury Michałowskiego w Konserwatorium, a następnie w Wyższej Szkole imienia Szopena. Być jego uczniem uważa się po dzień dzisiejszy za zaszczyt najszczytniejszy. Spróbujmy wymienić nazwiska najwybitniejszych uczniów zmarłego pianisty. Są wśród nich przedstawiciele pokolenia starszego, jak Juliusz Wolfson, śp. Piotr Maszyński, Piotr Rytel, Juliusz Wertheim, Jadwiga Zaleska. W ślad za nimi idzie drugie pokolenie, czynne w chwili obecnej w naszych muzycznych uczelniach. Są to profesorowie Wyż. Szk. im. Szopena: Józef Smidowicz, Jerzy Żurawlew, Woytowicz, Heintze, kompozytor Witold Friemann, Karol Szuster i piszący te słowa. A najmłodsze pokolenie pianistów liczy tych uczniów setki. Wielu z nich rozpoczęło już karierę estradową, jak Stefania Allina, Etkin-Moszkowska, Hepnerowa, Waldówna i, ulubiona przez mistrza — Feinsteinówna.

Ten osiemdziesięcioletni starzec o fenomenalnej wytrzymałości nerwów uczył niemal do ostatniego tchnienia. Jak przed laty w Konserwatorium, tak w latach ostatnich w skromnym mieszkaniu jego na Okólniku skupiała się młodzież muzyczna i do późna w noc przeciągały się te niezrównane lekcje.

„Wielostronność Michałowskiego jako pedagoga jest dobrze znana”, pisze prof. Piotr Rytel. Posiada on bezprzykładną znajomość literatury fortepianowej. Obszerną nie tylko w sensie ilościowym, ale i niesłychanie dokładną... zna bowiem każdy takt, każdą nutę czy też znak, każdy szczegół opalcowania. Łatwo zrozumieć, jakie znaczenie pedagogiczne posiada to wyjątkowe bogactwo pamięci. Wystarczał Michałowskiemu jeden rzut myśli, by ustalić program pracy dla ucznia, dać mu to, co najlepiej w danym momencie odpowiada celowi. A decydując, wielki kładł nacisk na wartość artystyczną utworów. Żywiąc cześć dla wielkiej sztuki, nigdy nie dopuścił, by uczeń niedojrzały zabierał się do interpretowania dzieł, do których jeszcze nie dorósł.

Sam — szopenista, nigdy nie pozwalał Michałowski na granie utworów Szopena przedwcześnie.

Senator ST. MIŁASZEWSKI

WOJCIECH BĄK

Wojciech Bąk wchodzi w okres dorodnej dojrzałości talentu. Jego „Monologi anielskie”¹⁾ są nowym krokiem zdobywczym w rozwoju. Już myśl poety dotarła na wyżynę, z której podstawowe wartości życia można ogarniać niewłaczając proporcjom nadanym bytowi naszemu przez Stwórcę. Już mowa staje się w jego ustach niezawodnym w dźwięczności narzędziem poetyckim. Już niedaleko chwila, gdy ten głęboki artysta, wyrażając siebie, będzie wypowiadał zarazem uczucia całych warstw, rasą duchową z nim spowinowaconych. Już niewiele mu do tego brakuje..

Atoli jednak owe „niewiele” na wyżynach jest bardzo dużą miarą, bo tam już tylko dźwięk zupełnie czysty budzi oddźwięk wieczystości, utajonej w ludziach, którzy są mieszańcami anielskiego i zwierzęcego.

¹⁾ Nakładem T-wa wydawniczego (I. Mortkowicz).

Nie wspomnieliśmy tu jeszcze o Michałowskim — kompozytorze. Pochłonięty tą pracą pedagogiczną oddawał on twórczości jedynie wolne chwile. Spuścizna kompozytorska Michałowskiego, pełna uroku melodyjnego i wielkiej finezji, zawiera 9 walców, dwa gawoty, dwa menuety, osiem marasków, preludia, dwie kołysanki. W rękopisie pozostało 10 utworów, z których „poloneza” słyszeliśmy na kolejnych obchodach jubileuszowych Michałowskiego w instrumentacji Jerzego Lefeldta. Te jubileusze: 50, 60 i 65-ciu lat działalności artystycznej nestora naszych pianistów stawały się manifestacją uczuć hołdu i wdzięczności dla wielkiego szopenisty.

Życie Michałowskiego spędzone w kraju jest przykładem najszczytniejszego spełnienia swoich obowiązków. Surowy i wymagający względem ucznia wskazywał mu tym samym wzniośle postannictwo sztuki. Karcąc niedbałość i dyletantyzm podnosił tym sposobem poziom polskiego wykształcenia muzycznego. Człowiek skromny, wielki altruista, udzielał swych cennych wskazówek jakże często — *bezinteresownie*, jeżeli widział talent i brak środków materialnych. Zabierał ze sobą niezamownych uczniów na wakacje, pomagał im materialnie, czyniąc to tak dyskretnie, że przypadek jedynie zdradził w wiele lat później tajemnicę.

Namaszczony duchowo przez Liszta, wobec którego w Weimarze grał koncert e-mol Szopena, stał się on obok Śliwińskiego jednym z najcelniejszych interpretatorów myśli szopenowskiej. Nawet w latach sędziwych, aż do roku ubiegłego, obdarzał każdą rocznicę urodzin i śmierci nieśmiertelnego Twórcy „mazurków” swoim koncertem. W sali Towarzystwa Higienicznego widzieć było można zarówno młodzież muzyczną jak osiwiiałe głowy uczniów Michałowskiego, sprzed pół wieku.

W roku 1939 przypadałaby 70 rocznica jego pierwszego koncertu w Gewandhauzie. Świat muzyczny oczekiwał jej z napięciem, utworzył się komitet organizacyjny tego niezwykłego w dziejach muzyki jubileuszu. Niestety, Aleksander Michałowski nie dożył brylantowych godów ze sztuką.

Odszedł na zawsze w dniu 17 października, będącym datą śmierci ukochanego przezeń Szopena...

Cześć pamięci wielkiego artysty i człowieka!

Wojciech Bąk od strefy zwierzęcej już się oderwał, w strefę wszakże anielską na stałe jeszcze się nie wzbil, zaledwie jej stratosferę trącił skrzydłem... Wzniesienie nad przyziemność jest u tego poety stopniowe. Im bliżej bolączek i miejsc wstydliwych życia, tym trafniejsze daje rozpoznanie. W wierszu „Starcy dojrzały” rozbrzmiewa srom i ból, że bieg współczesności odarł *sędziwość* z wszelkiego majestatu. Nie ma dziś patriarchów! — zdaje się wołać W. Bąk i przeciwstawia znieważoną przeszłość jarmarcznie dotąd sławionej terażniejszości.

Po Jeremiaszowemu dźwięczy np. taki ustęp:

....Ojcowie rady mądrej! Dęby nad plemieniem,
Prorocy i wodzowie jesiennie dojrzały,
Starcy, godni starości, zimni jak sumienie,
W pochwie ciała żółtkłego żywe dusze z stali.
W tym wieku emerytów, jęczących za piecem.

Bełkoczących bezradnie, jako niemowlęta,
I sztucznie odmłodzonych, próżnych i kobiecych,
Starców, skaczących w tańcu, jak śmieszne koźleta,
W tym wieku niedojrzałych, w zdzienniałym mieście,
Starcy — sędziowie mądrzy, o dębowi starcy,
Gdzie jesteście?"

Naoczne — wzrokiem duszy — stwierdzenie ohydy
obecnego wieku, czyli programowego skarlania ludzi
dzisiejszych w tak zwanym „życiu ułatwionym”, a wła-
ściwie spodlonym — budzi w poecie twardy protest
przeciwko ludziom. Zdawało by się, że uzupełnieniem
tego protestu powinno być ze strony chrześcijańskiego
karciciela przyjście z pomocą okaleczającym duchowo
bliźnim, wejście w skarcony tłum z aposto-
lską pomocą. Jednak stwierdzamy ze zdziwieniem, że
poeta od grzesznych bliźnich właśnie z odrazą od-
chodzi. I to nie w sposób, jak to czynili apostołowie i pro-
feci, którzy w samotności szukali natchnień anielskich
przed rozpoczęciem pochodu uzdrowicielskiego między
upadłych bliźnich.

Wojciech Bąk oddala się od ludzi na stałe. Otrzą-
snawszy pył z dróg ziemskich na głowy karłowatych
współplemieńców, przenosi się od razu w obcowanie
z aniołem. I, o dziwo, ten czysty duch utrwała go je-
szcze we wstępie do współbraci:

„Rzekł anioł: domy wasze mijam jak kałuże...
.....Bo w domach bogatych
Złoto truje, jak ciężkie, jadowite kwiaty...
...Domy biednych omijam, bo wasze ubóstwo
Cuchnie jak zaduch brudnych ubrań przepoconych —
I w waszej nędzy dźwięczy ten sam pomruk pustki,
Który straszy bogaczy — smutnych i znudzonych.
...Oddal się. Nie dotykaj. Wszystkich was omijam...”

Ten anioł wykazuje cechy pięknoducha. Zrażony
zarówno do bogatych, jak do nędzarzy, wiedzie swojego
wybrańca poetę między zwierzęta i rośliny, i uczy go
żyć w samotności poza ludźmi, oswojonymi jak psy lub
kury, poza „niewolnikami”, dla których ten wysłaniec
nieba nie ma ani krzty współczucia. Zresztą, według
skrzydlatego pięknoducha, ludzie nie zasługują na to,
gdź byt ich jest przesiąknięty kłamstwem.

Anielska recepta na kontemplację rzeczy istotnych
brzmi tak:

„Rzeczy prawdziwe stoją, zbudzone północą,
Pod światłem gwiazdozbiorów drżąc jak chłopcy mali,
A groza w ich gałęziach jękiem się szamoce
I wielkość nocy głuchy jęk żywiołów chwali”.

A więc nawet w obliczu nieba „rzeczy prawdziwe”,
czyli niezakłamanie po ludzku, drżą ze zgrozy, która
w ich gałęziach „jękiem się szamoce”... Zatem, według
Bąka nawet świat poza ludzki, uprzywilejowany przez
Bóstwo, cierpi i drży, bo piękno ziemi i nieba i dla nich
jest „strasliwe”.

Spojrzymy teraz, jak wygląda sam Bóg w bezpośred-
niej wizji tego poety. Anioł pięknoduch przedstawia
mu Stwórcę w postaci artysty, który przechadza się
w plenerze:

„Pan twój cieszy się żniwem. Jak pięknie wyrosło!
Rozciera kłosa w dłoni. Zbliża się ku sosnom
I oddech swój z oddechem ich miesza łaskawie.
Końcem stopy otwiera usta cichej trawie
I trawa kwili słodko pisklącym kwileniem,
A On dłonie artysty szeroko otworzył —
Widzisz: ziemia się cała kryje w cieniu Bożym.
I z wszystkich rzeczy — z wszystkich żywych dzieł Artysty —
Bije blask wiekuisty!”

Pominawszy wadliwe zastosowanie czasownika „wy-
rosło” do rzeczownika „żniwo”, zamiast do zboża, strofę
powyższą należy uznać za jedną z najpiękniejszych nie
tylko w tonie Bąka, lecz i w dzisiejszej liryce. Ten
oddech Boga, zmieszany z wonią lasu, trzepot ptaków

nad Jego cieniem, a zwłaszcza to „kwilenie trawy pod
stopą” trafne, rzeczywiste, a tak twórczo przetranspono-
wane na obraz metafizyczny — wszystko to jest napraw-
dę urocze i swoiste.

Niestety, słabsze jest zakończenie. Poeta uporczywie
i trochę manierycznie wraca do „zgrozy” nad swoją wła-
sną ludzką potwornością. Znamienny to motyw, owa to-
talna odraza do człowieka, nieudanego tworu, wobec
którego sam Stworzyciel — Wiekuisty Artysta — popa-
da w bezradny smutek i odchodzi z domu poety „zakry-
wając rękami przerażone oczy”.

Konskwentnym objawem wobec takiego nastroju jest
sąd anioła nad pokoleniem poety, tym pierwszym poka-
leniem dojrzałym w dobie wolności, od którego tak
wiele spodziewano się w Polsce. Anioł mówi o nim:

„Płomieniem wzgardy jak pochodnią
Wypalę ten czas kupców i szalbierzy.
Oto pod stopą, jak pod ogniem
Twe pokolenie leży!”

Ich następcom wróży Bąk stylem Jeremiaszowym je-
szcze sroższą burzę gniewu anielskiego.

„Nad pokoleniem mówców i żołdaków
Zawisnę — ja”.

Inną charakterystykę tego pokolenia znajdujemy
w następnym wierszu z tego samego cyklu:

„W tym czasie chwalecy wyszli. Chodzą po ulicach,
Wychwalając pięść gniewną i krzykliwą pierś.
I wtóruje im wrzaskiem zgiełkliwa stolica:
— Oto jest głos prawdziwy. Oto nasza pieśń”.

Jak niegdyś Alfred de Musset, tak samo i Bąk, aczkol-
wiek w innym tonie, utyskuje na swoje czasy, na „wiek”,
w którym wypadło mu żyć. Najdobitniej ten motyw
wystąpił w silnym wierszu pt. „Czas Makbetowy”:

„Nad wiekiem, miastem naszym, przyjacielu, wierz
Czarownice Makbeta szepcą złe zaklęcia...
...Słyszysz? Już się odezwał przeraźliwy chór:
Czasie, Makbecie krwawy, szybciej, szybciej jedź!
Wszystkie prawdy kłamliwe. Jedną prawdą noc,
Sztylet krwawy, pięść ciężko w śpiącego jak młot...
Prawdą: podstęp i zdrada, prawdą: nagła śmierć.
Czasie, Makbecie miły, nie wahaj się. Jedź!”

Według wieszczby poety dopiero pokolenie trzecie
wyjdzie z błędnego koła i doczeka się przymierza synów
ludzkich z synami nieba, przymierza przeczuwanego już
dzisiaj przez poetów i dzieci.

W poezji Wojciecha Bąka gęsto są rozsypane motywy
z literatury. Takie tytuły, jak: „Sofokles dolin”, „Czas
Makbetowy” itp. są po prostu odsyłaczami do źródeł.
Za najciekawsze wśród nich uważam odgłosy Lwa Toł-
stoja i Rilkego, chociaż te ostatnie są uchwytne tylko dla
poetycko wykształconego ucha. Wpływy owe wsiąkły
głęboko w indywidualność poety, który prawdopodobnie
dzięki nim nadał swym poematom chrześcijańskim to-
nację pełną grozy i tajemniczego niepokoju. Niemiecki
poeta Rilke przejął się swego czasu reformatorskim du-
chem Lwa Tołstoja, a podczas pobytu w Rosji zetknął
się bezpośrednio z mistyczną sektą „Sztundystów”. Za-
pewne za jego pośrednictwem echa tego ponurego mi-
stycyzmu przeszły do poezji Wojciecha Bąka, zagorzałego
również wielbiciela Tołstoja, o czym dobitnie świad-
czy cykl pt. „Wydzwoniony Piotr”, cykl, będący
apoteozą mistycznej tułaczki, czyli tzw. „bogoiskatiel-
stwa”.

Oprócz powyższej, jedna jeszcze hipoteza tłumaczy-
łaby ponury, bliższy Apokalipsy, niż Ewangelii, misty-
cizm naszego poety. W jednym z wierszy Bąk napo-
myka o pewnym „Zakonie Mędrców i Żołnierzy”. Z tych
napomknien można wysnuć przypuszczenie, że ów za-
kon ma cechy gnostyckie lub mitraistyczne. Skłonność

do samobiczowania, duma i samotnictwo, cechy główne twórczości Bąka, uprawdopodobniają przypuszczenie, że podlega on wpływowi kierunków ezoterycznych. Wojciech Bąk, ten przyjaciel świata zwierzęcego i roślinnego, stanowi przeciwieństwo ewangelicznej pogody św. Franciszka, który nawet dzikiego wilka z Gubbio uczłowieczał i robił niemal wegetarianinem...

W znamiennej „Kołysance” poeta nasz przedstawia życie, jako nieustanny mord „niewinnych katów”, pa-

IZABELA HENTZEL

W MAŁŻEŃSKIM TURNIEJU

Staję w pokutnej włosiennicy przed wami, o panowie czytelnicy.

Staroszlacheckim zwyczajem odszczekuję wszystko, co o was złego pisałam.

Errare humanum est. Każdy mężczyzna, to szlachetny kryształ, przez którego pryzmat promieniają na świat najpiękniejsze uczucia: gorąca miłość bliźniego, a czasem i kobiety, bezgraniczna uczciwość, głęboka wiedza, walcząca o lepsze z encyklopedią, fanatyczne umiłowanie prawdy, zanik wszelkich cech materializmu, no i... w ogóle, co mężczyzna, to mężczyzna!

A jeśli przypadkiem coś złego komuś się zdarzy, to winna temu tylko kobieta i w ogóle wszystkiemu winne te potworne, przewrotne kobiety.

Brr... nie mogę o nich myśleć bez uczucia pogardy.

Na tak radykalną zmianę stosunku do obu płci rodzaju ludzkiego wpłynął mój kolega po „fachu”, który właśnie przed chwilą zjechał przed redakcję wycofanym z obiegu autobusem. Po kilku minutach wgramolił się na pierwsze piętro w towarzystwie dwóch tragarzy, dźwigających 4 worki wypełnione listami.

— To wszystko dla pani — rzekł pan Wiktor, z miną triumfującą i wyniosłą. — Te cztery worki śmiecia wała w gruzy cały gmach oszczerstw, których przez kilka lat nie szczędziła pani żadnemu mężczyźnie. Od kolebki do grobu żaden nie był wolny od kompleksu niższości, którą oczywiście pani im przypisywała. Tak, szanowna koleżanko, za moim pośrednictwem mści się na pani los, o tak, mści się okrutnie. Ale nic mi pani nie żal, nic, nic!

— A oto jeszcze jeden dowód, który pani wszystko wyjaśni! —

To mówiąc rzucił mi na biurko wydartą stronę jednego z popularnych pism codziennych, którego „spécialité de la maison” stanowią ogłoszenia matrymonialne, poczem trzasnąwszy z galanterią drzwiami, wyszedł. —

Zostałam sama. Patrzę i czytam. Czerwonym ołówkiem podkreślone dwa ogłoszenia:

1) „Starszy pan, po pięćdziesiątce, zamożny, na stanowisku dyrektora, z autem, szuka żony... itd. (pożądana fotografia)”.

2) „Trzydziestoletni mężczyzna, przystojny, z wyższym wykształceniem, lecz, niestety, bez posady, szuka żony itd...”.

Na pierwsze ogłoszenie było ponad 800 odpowiedzi, tj. owe cztery worki, na drugie maleńka paczuszka za ledwie 11 sztuk. —

Szalona dysproporcja mówi sama za siebie, a ja z rumieńcem wstydu na obliczu nie mam już nic do powiedzenia. Trudno mi zaprzeczyć, że i kobiety też nie „leczą” na pieniądze”, jak to kiedyś zauważyłam u mężczyzn...

stwiających się nad równie niewinnymi ofiarami. Krwa- wa tragedia ziemi pogłębiona jest tutaj bezradnością samego Stwórcy, który nad człowiekiem, dziełem chybionym, z rozpaczą załamuje ręce.

Głębokie wnikanie w labirynt tematów niebezpiecznych świadczy jednak o dużej odwadze poety i rokuje nadzieję, że przejdzie on przez piekło swojej wyobraźni i w następnym etapie rozwojowym odczuje i odda w poezji wieczystą harmonię wszechświata.

Dalej przerzucając stos różnobarwnych kopert, adresowanych najróżnorodniejszymi charakterami pisma, które też wiele mówiły, stwierdziłam, że w tym małżeńskim turnieju wzięły udział kobiety dosłownie z całej Polski. Nie ma chyba większego miasta czy małego miasteczka, z którego choćby jedna lub dwie kobiety nie zgłosiły kandydatury do „stanu małżeńskiego”. Najliczniej reprezentowany był Lwów, Kraków, Warszawa, Poznań, Sosnowiec, Katowice, Gdynia i Bielsko. Przy okazji pogłębiłam wiedzę z dziedziny geografii, wyszukując na mapie miejsca, z których dochodził „tęskliwy oddźwięk” — w formie listu.

Gdyby każda z owych pretendentek do portfela i auta starszego pana zaśpiewała na nutę rzewnej piosenki: „Gęsi za wodą, kaczki za wodą...”, pan Rutkowski z Polskiego Radia mógłby bez przechwałek powiedzieć, że podczas jego audycji... cała Polska śpiewa... syrenimi głosami.

Czytanie owych listów rozpoczęłam około wiosny i nawet nie zauważyłam, że lato już minęło i jesień się kończy. Zemsta mężczyzny była straszna!

Przyznam się, że obecnie doszłam do takiego stopnia indiosynkrazji, że nawet widok listu od bliskiej osoby budzi we mnie lęk.

Te małżeńskie listy są bardzo różne w swej treści: głupie, naiwne, bezcelne, obłudne, a ogólnie biorąc wszystkie prawie okrutnie fałszywe i kłamliwe.

Prawie wszystkie autorki z bardzo nielicznymi wyjątkami na pierwszym miejscu podkreślają swoją obojętność dla „miłego grosza”, a w rzeczywistości między wierszami czyta się: „kochane pieniądze daj mi starszy panie”. —

Gdyby wierzyć temu, co piszą kobiety, to młodzieńcy i smarkacze do lat 49 włącznie powinni zniknąć z powierzchni globu ziemskiego, ponieważ na podstawie otrzymanej korespondencji kobiety od lat 17 do 67 lubią tylko „starszych panów” a nie „jakichś młodzików”.

Na dowód nieco dalej przytoczę autentyczne fragmenty listów.

Brawo, starsi panowie z... pieniędzmi, dla was tylko piękne, przystojne, brzydkie, sympatyczne, młode i starsze kobiety, jak Polska długa i szeroka, hodują kwiaty najpiękniejszych uczuć i kolekcjonują liczne książki lat „bez przeszłości”. —

Do składania ofert na ogłoszenia matrymonialne zmusza kobiety brak odpowiednich znajomości, wyższa siła, głos wewnętrzny, lub nieszczęśliwa miłość.

Te ostatnie są dla mnie uosobieniem desperackiego ryzyka. Nie dość im zawodu ze strony jednego mężczyzny lub drugiego, szukają jeszcze jednego. Bohaterstwo!

Ha, trudno, i nasza epoka musi mieć pokolenie bohaterskich „kobiet”. —

Cechy narodowościowe nawet w handlu małżeńskim nie drzemią. Żydówki (narodowość nie była zastrzeżona) nie występują z otwartą przyłbicą. W ich imieniu zgłasza się tate, mame, ciocia, siostra, brat — słowem cała familia, lub nawet obcy swat, węsząc za swe pośrednictwo lepszy „geszeft”. Ci przysyłają z góry ułożony plan spotkania, poznania, wyznaczoną datę ślubu i opis szczegółów, o których na tym miejscu nie wypada mi pisać. —

Akces do przetargu małżeńskiego zgłosiły kobiety z różnych środowisk, z różnym wykształceniem i w różnym wieku.

A więc arystokracja: księżniczki, hrabianki, baronówny. Dalej kobiety z wyższym wykształceniem różnych wydziałów i uczelni, istniejących w Polsce. Potem nauczycielki gimnazjów, szkół powszechnych, domowe, urzędniczek, krawcowe, manicurzystki, pielęgniarki, pomocnice domowe, robotnice itd.

Oddzielną grupę stanowią pianistki i malarki — jest to grupa kobiet z „wyższej swery ducha”. Nie było natomiast ani jednej śpiewaczki, artystki dramatycznej lub filmowej i baletnicy. Stąd wniosek, że w tej „branży” tak zwane powodzenie zapewnione. —

Wiek pań rozciągał się na przestrzeni od 17 do 67 lat. Jeśli chodzi o stan cywilny, to pierwsze miejsce zajęły panienki „młodsze i starsze”, drugie wdowy, a trzecie rozwódki.

Gdyby zebrać wszystkie załączone fotografie i ułożyć je według typów w specjalnym albumie — muzeum osobliwości zyskałoby ciekawy eksponat.

Poza nielicznymi dość ładnymi twarzami — wszystkie inne to brzydactwa w najprzeróżniejszych pretensjonalnych pozach. —

Jak już zaznaczyłam, listów jest ponad 800. Z godną podziwu cierpliwością przeczytałam wszystkie, ale, niestety, nie wiem, które wyróżnić i przepisać. Prawie każdy posiada jakąś cechę indywidualną, dla której powinien być wyróżniony, choć sens jego zawiera się w treści „męża chcę, męża chcę”.

Niestety, wiem z góry, że redakcja nie zgodzi się na tak fascynującą publikację i czytelnicy już przy pięćdziesiątym liście doznaliby niewątpliwie zawrotu głowy, a przy setnym co najmniej szału.

W obawie więc o zdrowie P. T. Czytelników (dla kogo wówczas pisałabym) sięgam do worka i wyciągam garść listów. Jest ich jeden, dwa, trzy, cztery, pięć..., dwadzieścia. A więc tych 20 ujrzy drukarnię i... świat...

1) „Nieznanym Panie!

Traf chciał, że nie mając co czytać, zaczęłam przeglądać ogłoszenia, i trafiłam na inserat Pana.

Do tej pory nigdy nie nęciła mnie podobna giełda małżeńska. Natomiast anonś Pana, to zew duszy, która szuka sobie pokrewnej — łaknie słodczy i ciepła kobiecych ramion.

Co się tyczy mnie — to jestem młoda, mam niecałe 20 lat, wesoła, pełna optymizmu, oddania i dobroci. Podobno ładniejsza, niż na załączonym zdjęciu, przepięknie zbudowana szatynka o zielonych oczach — posiadająca coś, co się mężczyznom najbardziej podoba — dużo kobiecości i wdzięku.

Tak — szukam człowieka, któremu mogłabym bezgranicznie ufać, oddać swe młode serce gorące i pełnię uczucia miłości.

Proszę nie sądzić, że może jestem za młoda dla Pana, ale tak być powinno.

Mężczyzna powinien mieć doświadczenie życiowe i nie być niedoważonym młodzikiem, prawda...

Tak, proszę wierzyć, że nie zawiedzie się Pan na mnie nigdy, a nawet przewyższę najsmielsze Pana marzenia.

P. S. O przeszłość moją proszę się nie niepokoić — jest bez skazy. — W. W.”.

Uważam, że 1^o nie należy gardzić ciepłem kobiecych ramion, a zwłaszcza późną jesienią i w zimie, kiedy chętnie korzystamy z ciepła koksowego piecyka na ulicy, 2^o szkoda gorącego serca, aby wystygło nie wykorzystane dla ciepła, 3^o należy dowiedzieć się, do jakiej wysokości sięgają najsmielsze marzenia p. dyrektora, aby mieć pojęcie w jakim punkcie przewyższy je zielono-oka piękność.

2) „Wielmożny Panie!

Jestem nauczycielką lat 48 — cicha, skromna, domatorka, we wszystkim godzę się z losem, tylko samotna... tak bardzo samotna...

Checiałabym nawiązać nić cichej a serdecznej przyjaźni, by zaznać choć kruszynę serca w mym życiu.

O okruszynę serca proszę, a dam całe niebo najtkliwszych uczuć macierzyńskich, jako pisklę maleńkie otoczę najtroskliwszą miłością — by życie zamienić w piękną „pieśń nad pieśniami”. —

Mówią ludzie, że jestem miła, ładna, dobra (może aż za dobra i z tym mi źle), z zacnej rodziny ziemiańskiej, gospodarna — tylko w prawym biodrze mam zwichniętą nogę, a nie naprawioną, przez co lekko utykam. W życiu codziennym zupełnie mi to nie przeszkadza, ani szpeci (obuwie normalne) — ale mogłoby kogoś razić i to mogłoby być ewentualną przeszkodą w zawarciu małżeństwa, więc najcięższy grzech spowiadam przed Panem, a Pan niechaj rozgrzesza. A skoro Pan rozgrzeszy, to już Go pokocham całą duszą dziecięcą — dzieckiem najmilszym, najśladszym mi będzie, a ja jego matką najtroskliwszą.

Materialnie może taka biedna nie jestem, ale moralnie to najbiedniejsza z biednych. Nigdy nie doznałam tego ciepła serdecznego męskich ramion, obce są dla mnie pieszczoty. — Z. T.”.

Choć mężczyzna podobno przez całe życie jest dzieckiem i pisklęciem, myślę jednak, że nie tak bardzo zależy mu na macierzyńskich uczuciach i nie bardzo jest wrażliwy na wszelkie „pieśni nad pieśniami”.

Defekt w budowie (krzywe biodro) może nie podobać się panu dyrektorowi, ale może, kto wie...

Z powodu braku ciepła „męskich ramion” i pieszczot wyrażam słowa współczucia.

3) „Szanowny Panie Dyrektorze!

Chcę widzieć świat w różowych kolorach, żeby wszyscy pod słońcem byli szczęśliwi, chociażby ci, na których ja patrzę. Można nazwać to egoizmem, ale sądzę, że takich jak ja jest więcej.

Obecnie mam na uwadze szczęście swojej cioci, która jest wdową i mieszka w B..., gdzie dzierżawi kasyno oficerskie. Materialnie powodzi się jej nieźle, no ale ja nie widzę jej szczęśliwą, bowiem praca, jakiej podjęła się dla chleba jest zbyt uciążliwa na kobietę, chociaż stoi na wysokości zadania, co zresztą zawsze można sprawdzić.

Ja chciałabym, aby ciocia wyszła za mąż za takiego „Dobrego Pana”, przy boku którego dopiero byłaby



Kanclerz Hitler zwiedza czeskie fortyfikacje.



Ułani polscy odpoczywają, czekając na rozkaz przekroczenia granicy czeskiej.



*Mussolini podczas przeglądu swych sił zbrojnych w Villa Glori.
Zwłoki płk. Beliny-Prażmowskiego w drodze na wieczny spoczynek.*



Ciężki karabin maszynowy nad czeską granicą.



Piękne Węgierki ofiarowują bukiety kwiatów przybyłym do Ipolyság żołnierzom węgierskim.





Dzieci wszędzie są ciekawe. Ale nie wszędzie policja jest tak cierpliwa, jak policja londyńska.



Palestyna się pali. Gdy płoną arabskie domy, to nie odbiera spokoju Anglikom. Gorzej jest, gdy, jak na naszej ilustracji, płoną angielskie rurociągi naftowe.

Gdy groźne armie wkraczały w czeskie granice spokojny pasterz na sudeckich wzgórzach pilnował swych owiec jak lat temu 1900 pasterze koto Bettejemu.



w siódmym niebie, gdyż zasługuje na to, byłaby żoną jak najlepszą — a jakie piękne robótki umie robić. —

Wiem, że niejedna pani napisała do Sz. Pana, mając niezłomną nadzieję itd., ale serce człowieka-mężczyzny jest tak obszerne, że dla wszystkich serc niewieścich znajdzie jakiś wolny kącik i każdej może szepnąć coś na uszko miłego, co niewątpliwie uzdrowi niejedną na całe życie.

Nie wiem dlaczego ja chcę być swatką, ale to chyba wina anonsu, który ruszył moje wnętrze. — Z. P.”.

* * *

Tak silnych wzruszeń, aby „ruszały wnętrza” czytelników nie wymaga chyba żadne pismo, ani nawet autorzy, zwłaszcza w dziale ogłoszeń, ale skoro one są należy je odpowiednio ocenić!

Czy szanowna siostrzenica zastanowiła się nad tym, że pan dyrektor wybrałby np. ją zamiast cioci. Stąd mogłoby wyniknąć nieporozumienie i krótkie spięcie w kochającej się rodzinie. A tego należy unikać jeśli się chce, tak jak pani, widzieć świat w „różowych kolorach”.

* * *

4) „Proszę Pana!

Zamieszkuję w miasteczku bardzo małym, 48 km od Poznania. Wychowana jestem bardzo dobrze, rodziców mam dobrych, ale tatuś jest ostry, nie wiem co to znaczy wychodzenie wieczorami na przechadzki, jak słyszę od innych panienek, po godzinie ósmej. Nawet nie pragnę tego, zresztą w mieście naszym nie ma odpowiednich panów, z którymi bym mogła czasem kilka chwil spędzić, nie nęci mnie zaś towarzystwo jakichś młodzików, przeciwnie zaś czuję się dobrze w towarzystwie starszych panów, chociaż mam tak mało okazji. Pochodzę z rodziny dobrej. Tatuś prowadzi interes rzeźniczy w P.

Przy wyjściu za mąż otrzymuję od rodziców wyprawę, zaś majątek później. — H. R.”.

* * *

Drogie dziecię prowincji. W liście twoim słyszę po prostu rozpaczliwy kwik tych przemyśłych, różowych i tłustych zwierząt, które prawie nigdy nie giną śmiercią naturalną i których śmierć właśnie daje egzystencję i majątek tobie i twojemu ostremu tatusiowi.

Jestem zakłopotana jak wytłumaczyć ci, co to jest wychodzenie po godzinie ósmej wieczorem. Z całą pewnością wiem, że chodzi się w ten sam sposób jak o ósmej rano lub dwunastej w południe. Wieczorem czasem świeci księżyc, a czasem jest ciemno; w dzień nawet pochmurny jest zupełnie widno.

No, ale ponieważ w mieście twym, jak wspominasz, nie ma odpowiednich panów, więc nie ma czego żałować! —

* * *

5) „Szanowny Panie!

Na ogłoszenie Pana odpowiadam. Mój instynkt dziewiczy mówi, że na tej „drodze” znajdę ukochanego przyjaciela, męża i ojca.

Jestem artystką-malarką o wybitnym talencie, przede wszystkim idealnie dobra, co Pan może poznać po oczach na fotografii, wzrost średni, ładnie zbudowana, o subtelnym, ładnym charakterze, nie nadająca się na dzisiejsze złe czasy.

Jestem domatorką, mało się udzielam, gospodarna, oszczędna. Tak pragnę poznać i prawdziwie kochać męża, któremu bym poświęciła najpiękniejsze „coś” — prawdziwą miłość. — S. L.”.

Ze smutkiem stwierdzam, że tym razem „instynkt dziewiczy” zawiodł. Nie znajdzie pani w panu dyrektorzce ani przyjaciela, ani ojca, ani męża. Należy być bardziej zdecydowaną i wybrać jedno z wyżej wymienionych stanowisk, bowiem uniwersalnych mężczyzn brak. Jeżeli będzie ojcem, nie może być jednocześnie mężem, ponieważ za istnienie takiego faktu grozi surowa kara — miałyby więc pani nowy kłopot z noszeniem wałówek do wiewienia.

Co do dobroci, to na załączonej fotografii jej nie dostrzegam, ponieważ twarz jest niewyraźna. Dobrze widać obnażone ramię. —

* * *

6) „Wielmożny Panie!

Jestem 18-letnią panną, bez jakiegokolwiek przeszłości. Jestem „piękności” przeciętnej panienki. Potępiam obłudę i fałsz, który w obecnych czasach bardzo często gości w ciałach ludzkich. Pomimo, że zaliczam się do młodych osób, jednak już potrafię być stałą, wierną dla tego, którego usposobienie odpowiadałoby dla mego charakteru, nawet pomijając wiek. Szukam jedynie pana, który miał już swoją przeszłość, żeby zatrzymać go na zawsze dla siebie, żeby nie chciał w miesiąc po ślubie szukać innej, a moja opinia jest bez zarzutu.

Ojciec jest organistą przy tutejszym kościele. Ukończyłam 4 klasy gimn., prócz tego szkołę gosp. domowego, co jest najważniejsze dla kobiety, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Że jestem dobrego charakteru, świadczy to, że jestem w domu lubiana i cieszę się sympatią innych. Ponieważ w danej miejscowości znajomości nie zawieram, szukam więc z dalszych stron partnera do życia.

Co do warunków materialnych, to pieniędzy jest trochę i wyprawa jaka taka. — A. G.”.

* * *

Gdyby to było w mojej mocy nadałabym pani jakieś specjalne odznaczenie za to, że mimo poważnego wieku osiemnastu lat nie ma pani „żadnej przeszłości” i cieszy się opinią „bez zarzutu”. Opinia w dzisiejszych czasach — to wielka rzecz. Nie należy jej lekceważyć i równi z protekcją. Gdybym ja np. miała opinię „wielce cenionej i uznanej” pisarki oraz protekcję odpowiednią, nie pisałabym na wierszówkę, ale miałabym zapewnione stanowisko w P. A. I. lub co najmniej w I. K. C.

Z całym uznaniem podkreślam znajomość ułomności charakteru ludzkiego. Trzeba być nielada psychologiem, aby wykryć „fałsz i obłudę”, które goszczą w „ciałach ludzkich”. Na zakończenie życzę pani, aby znalazła partnera do życia choć w dalszych stronach i aby tatuś jak najszybciej zagrał „Veni Creator”.

* * *

7) „Dobry Panie!

Ja chcę wyjść za mąż całkiem szczerze i zwyczajnie. Skłania mnie do tego uczucie niepotrzebnego człowieka. Mam 56 lat, czuję się młodą, chcę być szczęśliwą i uszczęśliwić osobę tak skromnych wymagań. Lecz ja nie szukam bogactw, szukam spokojnego, łagodnego usposobienia — szukam echa swojego. Nie żądałabym od Pana ani grosza, gdyż mam swoje (jestem dobrze sytuowana), szukam bratniej duszy dla samotnej duszy, gdyż ma dusza jest tak kwiecista i młoda (lecz nie latami) i bogata w przeróżne entuzjazmy potrafi kochać, potrafi nucić jakieś smętne pieśni dla Stwórcy z podziękowaniem za brylanty, włożone w mą duszę. Tak cudna jest natura, a jak piękne może być życie dwojga ludzi dobranych latami do siebie, o ile są do siebie nastawieni

tak przeczudnie, że promienie płyną z jednego do drugiego wzajemnie.

Prawda, że Sz. Pan będzie mieć moc ofert nawet od młodziutkich panien, lecz tylko dla dobrobytu, a później życie oplakane. Na tyle ofert proszę moją wyróżnić, bo jest szczerą i solidną. Chcę serca za serce, będę umiała je ocenić. Szukam serca sympatycznego, obdarzającego mnie jego zmysłami, oddającego duszę całą dla mej duszy, dlatego wołam: O przyjdź mi z nieba. — J. Z.”.

Zwyczajnie wyjść za mąż jest względnie łatwo do 36 roku życia. Natomiast w 56 wiosnie życia jest to sprawa trochę utrudniona mimo najlepszych chęci uszczęśliwienia kogoś i młodego samopoczucia. Na to trzeba wybitnego znawcę, albo ryzykanta. Na ogół mężczyźni lubią ułatwiać sobie życie i żenić się z żółto-dziobami — piją świeży, jałowy miód — nie widząc, że tylko stary rozkosznie „rozchodzi się po kościach”.

Jestem nieutulona w żalu z powodu niemożności obejrzenia pani „kwiecistej duszy” i wyłożonej brylantami.

Jeśli istotnie dusza pani nuci jakieś smętne pieśni, to należałoby je jak najszybciej nagrać na Stillu, zanim przestanie. Co się tyczy promieni, płynących z jednej osoby do drugiej, to zjawiskiem tym powinien zainteresować się rentgenolog.

Punkt ostatni. Pan dyrektor z nieba nie przyjdzie, ponieważ w niebie wszyscy są sobie równi i żadnych dyrektorów nie ma, a poza tym między niebem i ziemią nie ma stałej komunikacji.

8) „Wielmożny Panie!

Jestem sierota, starsza już panna lecz szykowna. Ja z braku znajomości nie mam sposobności zapoznawać się z panami — zresztą jestem bardzo wybredna, na wszelkie znajomości, gdyż dzisiaj jest bardzo trudno spotkać dobrego o szlachetnej duszy i charakterze męzczyznę.

Ach, jak bardzo chciałabym mieszkać w Warszawie i mieć za męża tylko starszego Pana, gdyż nie lubię młodych roztrzepanych mężczyzn, którzy tylko po dancingach chodzą, ponieważ ja lubię ciche i spokojne życie domowe. Wyczuwam w Panu solidnego człowieka, a nie głupiego smarkacza, dlatego też mogłabym być dobrą żoną, gdyż jestem skromna i dobrze wychowana z domu. Jestem na utrzymaniu brata i dlatego też byłabym idealną żoną byleby nie zależeć od rodziny. — Z. P.”.

Nie można być bardzo wybredną — trzeba trochę wypróbować. Nie chcę wpływać na opinię pani — ale spośród tzw. przez panią pogardliwie smarkaczy też można czasem „coś” wybrać. Starszy pan nie od razu był „starszym panem” — mimo najlepszych chęci też musiał być kiedyś smarkaczem. Nie od razu Kraków zbudowano.

9) „Szanowny Panie!

Mam lat 20. Blondynka, wzrost 162 cm, waga 58 kg, zgrabna. Posiadam średnie wykształcenie. Szukam człowieka, który stworzyłby mi życie z dala od nowoczesnego gwaru. Nie lubię bowiem dzisiejszej po największej części hulawczej młodzieży, goniącej jedynie za żądzą życia. Jestem gorącą zwolenniczką dawnych dobrych zasad. Chodzi mi o człowieka naprawdę solidnego i szlachetnego.

Gdyby Pan nie był takowym, proszę mi nawet nie odpisywać. Co do mojej osoby jestem korrekcyjny pod każdym względem.

Zapomniałam dodać, że w wyglądzie zewnętrznym przebija u mnie rasa (typ małosyjski). Pieniądzy nie mam, lecz mam „honor i słowo” i przebogatą duszę. — C. G.”.

Mam uznanie dla zwięzłego stylu pisania. Z kilku wierszy wiem o pani prawie wszystko, co dotyczy wyglądu zewnętrznego, poglądów, upodobań, sytuacji materialnej itd.

Ścisłe dla poufnej i osobistej wiadomości może zechce pani odpowiedzieć, a właściwie podać receptę, w jaki sposób w prozaicznym życiu zamiast pieniędzy posługuje się pani „słowem i honorem” i czy w sklepach, gdzie honorują czeki „Kupca Polskiego” dyskontują „słowo i honor”.

Na odpowiedź załączam znaczek.

10) „Szanowny Panie Dyrektorze!

Wyobrażam sobie ile to woźny Pana przyniesie listów z fotografiami i bez kandydatek na „dyrektora” i do tego bogatą. Zainteresował mnie Pan.

Bo po pierwsze dyrektor — imponuje mi to; po drugie: bogaty — w obecnych czasach rzadki wypadek; po trzecie: szuka żony dobrej (podobno mam serduszko złote); po czwarte: starszy pan — to jest moja słabość — bardzo lubię starszych panów — nie myślę o sieśdziesiątce.

Gdyby do tych wszystkich walorów, podanych przez Pana w ogłoszeniu można było dodać: przystojny, ewentualnie męski (100%), elegancki, energiczny, wierny, dobry, bardzo inteligentny, w miarę sentymentalny i romantyczny — to kto wie — może moja „wysokość” przeczyłaby się „machnąć” za „Dyrektora”.

A „moja wysokość” liczy lat 27, jest miłą blondynką. Kłaniam się pięknie nieznanemu Panu i czekam na odpowiedź. — J. W.”.

Pani mi się podoba. Sprawa postawiona jasno i wyraźnie.

I kobiety też są z charakterem.

11) „Łaskawy Panie!

Jestem bardzo łagodnego usposobienia, ale z ludźmi analogicznych usposobień.

Jestem przystojna, zgrabna, nietleniona blondynka. W końcu pragnę już założyć domowe ognisko z jakąś dobrą duszą. Jeżeli się Pan zdecyduje żyć z miłą towarzyszką życia, to bez obawy proszę odpisać i zaraz się sprowadzę do Pana i będziemy sobie żyć szczęśliwie jak aniołki w niebie. Może Pan także poznać moją rodzinę. Czy dobrze? — L. H.”.

Chociaż żyjemy w bardzo przyśpieszonym tempie, ryzykowne jest wprowadzanie się do mieszkania nieznanego mężczyzny bez uprzedniego obejrzenia... apartamentu.

Łatwość i gotowość, z jaką przyjmuje Pani wszelkie propozycje świadczy wymownie o jej anielskości.

12) „Szanowny Panie!

Bardzo lubię starszych panów, ponieważ do takich tylko można mieć zaufanie.

Najważniejszym jest to, że się znajduję w położeniu rozpaczliwym i w pierwszym rzędzie proszę o pomoc materialną, oczywiście jako pożyczkę do czasu, gdy zacznę pracować.

O ile mnie Pan pozna bliżej — uzna sam, iż lepszej i więcej oddanej sobie istoty nie znajdzie w życiu. Jestem uczuciowa i jeżeli ktoś zrobi coś dla mnie za grosz — ja mu oddam za 100.

Trudno, aby może Pan żenił się ze mną od razu, tego nie wymagam, ale chętnie zostałabym nawet przyjaciółką, a nie żoną, o ile Pan zechce, bo przecież nie mogę żądać, aby ktoś się ze mną żenił, nie znając charakteru i kultury.

W każdym razie czekam Pana dnia... o godzinie... — N. Z."

* * *
Przepraszam, nic nie napiszę — zepsuła mi się stółka.

* * *
13) „Dobry, kochany Panie!

Bardzo przepraszam, że pozwoliłam sobie dać Mu taki tytuł, ale tak mnie Pan rozczulił swoim ogłoszeniem. Piszę szczerze, że nie majątek pański zaimponował mi, ale to, że chce dać szczęście jakiejś samotnej kobiecie.

Szkoda, że mnie Pan nie zna, jestem chyba najlepsza na świecie i taka sama, jakże byłabym mu wdzięczna za trochę serca i dom ciepły. Lubię bardzo ludzi poważnych i rozumnych, nic w życiu więcej nie pragnęłam. Mam lat 35, jestem przystojna i miła, oszczędna, praktyczna, urządzę Panu cichy, miły dom.

Mam jedną straszną wadę — nie umiem żyć dla siebie.

O, gdyby Pan wyczytał między wierszami jaką radość zrobiłby Pan, zabierając mnie do siebie.

Trochę mi wstyd, że tyle prośby jest w tym liście, ale jestem szczerą, piszę tak jak czuję, nie znoszę kompromisu.

Pozwoli Pan, że Cię pocałuję w jedno oko, drugie, w czoło, w którym są takie dobre myśli, całuję nos, buzię, musi być bardzo dobra i miła, jak miłe i dobre jest Jego ogłoszenie.

Cieszcie się, wy smutne, które może ze łzą w duszy myślałyście, że darmo serca nikt nie da, zawsze którąś z nas szczęście spotka, nie jestem zazdrosna, chociaż bardzo bym chciała mieć dobrego męża. Kochany Panie, będę się gorąco za Pana modliła, abyś znalazł dobrą żonę i ściskam serdecznie kochaną dłoń. — S. S."

* * *
Nie należy zbyt rozczulać się ogłoszeniami i rzucać pocałunków w przestrzeń. Egzaltację trzeba trzymać na wodzy, by nie poniosła zbyt daleko.

* * *
14) „Nieznajomy Panie! z

Jest rzeczą dość oryginalną korespondować z nieznanym — roić marzenia o pięknym dniu poznania. Ale to właśnie tak bardzo mnie dzisiaj pociąga.

Przypominają mi się lata mego dzieciństwa, kiedy to pisywałam listy do św. Mikołaja, z tą jednak różnicą, że wtedy byłam w o wiele szczęśliwszym położeniu, gdyż przynajmniej portret swego adresata widziałam w każdej wystawie cukierniczej. Wierząc wtedy w istnienie i dobroć tej postaci, która raz w roku obdarowuje dobre dzieci słodyczami.

A teraz stoję przed otwartą próżnią. Proszę więc uczynić zadość mej wyobraźni i posłać mi siebie — myślą i foto odsłoni swoje incognito — a wtenczas odpowiem i ja więcej o sobie. Zdecydowana, odporna na przesady,

o czystej duszy, z dobrym sercem, o porywach wzniosłych, szukająca w labiryncie dzisiejszego fałszu, pruderii i pustych frazesów słowa ciepłego, zdolna do poświęceń. Jestem młoda, spragniona szczęścia, dobra — chciałabym, aby mnie za to kochano.

Wymarzony z bajki królewiczu — otworzę ci raj na ziemi, otoczę cię wszystkimi odcieniami uczuć. Zmysły moje pogrążą Cię w krainie wiecznego zapomnienia i zaspokoją wszystkie Twoje wymagania i pragnienia. Jestem ładna — najpiękniejsza w jedwabnej nocnej koszulce, z burzą złotych włosów — wiosna, słońce — sam wykwit powabu — kobiecości — to ja.

Przed paru laty wróciłam z zagranicy i mieszkam stale w Z., gdzie bliżej Boga, słońca i przyrody mogę zapomnieć o tym, co było dla mnie złe w życiu.

Czasem rwie się coś we mnie, w nieznanym, silnym, spalające się w ogniu boskich pragnień, wszak nieokiełznany jest głód miłości i oto przeczytałam anons Pana, który zasiłił mnie taką radością, jak z wiosną pierwsze promienie słońca.

Chciałabym, aby Pan mnie zobaczył — żywego człowieka, który śmieje się i patrzeć będzie tak w oczy, aby z nich wyczytać mógł Pan sam wszystko. Czekam więc wyroków „Przeznaczenia”. — M. M."

* * *
15) „Nieznajomy, lecz kochany chłopczyku!

Otóż Pański anons zainteresował 27-letnią dziewczuszkę, jasną blondynkę i ślicznie zbudowaną. Sądzę, że jak mieć żonkę, to ładny i zgrabny mebelek, który by ozdobił mieszkanie.

Bo czyż nie na to jest stworzona kobieta, aby upiększyć życie mężczyźnie?

Ciekawam kto ukrywa się pod słowem „dyrektor”? Czy subtelny starszy pan o szpakowatej czuprynie i łagodnym spojrzeniu pięknych oczu, wysoki, postawny, arystokrata ducha?

Czy nie jest to przypadkiem indywidualność tak oryginalna i ciekawa, że może nawet pensjonarka kochać się w nim do szaleństwa, a cóż dopiero kobieta dojrzała i pełna temperamentu? Forse che si, forse che no...

Jeśli trafią Ci do przekonania moje słowa „dyrektor-ku” — napisz... czekam.

Łączę miłe wyrazy i dziewicze pozdrowienia. — W. N."

* * *
16) „Łaskawy i zacyjny Panie!

Pańskie ogłoszenie matrymonialne jest podług mojego gustu, gdyż szukam mężczyznę jako męża, tylko starszego. Moje długie wdowieństwo już mi wyłazi bokiem, więc chciałabym spocząć na laurach wygod i dobrego życia.

Od pięciu lat borykam się sama. Męża śp. miałam starszego, którego z woli Bożej pochowałam w 72 roku życia.

Rwę się jeszcze do życia i pragnęłabym dzielić swe szlachetne uczucia dla wspólnego dobra i umilenia tego szarego żywota.

Nie jestem zbyt zmysłową, ale kochliwą i serdeczną, a na pierwszym miejscu stawiam serce i duszę osoby.

Ja Pana otoczę opieką kobiecą i w posagu wniosę małe gospodarstwo rolne: młody ogród, bryczka, koń, jedna krowa i dom o czterech skromniutkich pokoikach. To moje całe bogactwo.

Jeżeli Pan zatrzymał swój wybór na młodej osobie, nie znajdzie Pan szczęścia, bo te osóbkę terażniejsze mają poglądy spazzone. — W. K."

(Dokończenie na str. 524).

DEFILADA

Tysiącami flag, chorągwi i transparentów o barwach narodowych przystroiła się stolica na dzień 11 listopada, by godnie uczcić 20-lecie niepodległości.

W przeddzień wieczorem w czwartek na Placu Marszałka Piłsudskiego przed Grobem Nieznanego Żołnierza zgromadziły się delegacje organizacji społecznych, by złożyć wieńce na Grobie Nieznanego Żołnierza. Po środku Placu płonie ogromne ognisko, rzucające krwawo-złote refleksy na głowy stojących karnymi czwórkami tłumów.

Przez megafon padają nazwy instytucji, których przedstawiciele składają kwietne wiązanki na Grobie Nieznanego Żołnierza walk o niepodległość. Nad komendą sztabu jaśnieje srebrzysty, ogromny Orzeł Biały, patrolujący z wysoka temu hołdowi przed relikwiami swego Bezimiennego Obrońcy.

Megafon nadaje przemówienie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej z Piastowskiego Zamku w Cieszynie. Najwyższy Dostojnik Państwa czyni szeroko zakreślony bilans wysiłków narodu i jego przodowników, poniesionych dla zdobycia niezależności i następnie ugruntowania państwowego bytu. Padają słowa, zamykające psychologiczną syntezę przeżywanego momentu, zarysowuje się w faktach i cyfrach kontur Polski dzisiejszej, świętującej swój pierwszy jubileusz pełnoletności i wizja niedalekiej, coraz pełniejszej, mocarstwowej jej świetności.

Następnie ruszają formacje i organizacje pochodem przez Nowy Świat, Al. Ujazdowskie ku Belwederowi. W świetle wieczornej iluminacji miasto wygląda strojnie jak panna młoda. Płoną rumieńcem amaranty sztandarów, zewsząd z okien, z fasad spoglądają portrety Prezydenta, Marszałków Piłsudskiego i Rydza-Śmigłego.

Na Placu Trzech Krzyży witają kroczące szeregi dwa świetliste, białe pylony, na których widnieje jubileuszowy monogram „XX R. P.”.

Pochód zbliża się ku Pl. Wolności. Po bokach czernieją trybuny, przygotowane dla widzów jutrzejszej defilady. Nagle na niebie rozbłysła smuga światła, układająca się w błękitny wzór wstęgi Virtuti Militari.

Wilia jubileuszu minęła.

Dzień 11 listopada owinął się od samego ranka opołąnkiem. Lecz łaskawe niebo, deszczem nie grozi.

Wzdłuż N. Świata i Alei ustawiły się liczne delegacje najrozmaitszych organizacji wojskowych, jak Związki Rezerwistów, członkowie różnych byłych formacji, wchodzących w skład federacji, organizacje społeczne, wreszcie młodzież. Są straża pożarna, harcerstwo, czterdzieści co najmniej różnych grup organizacyjnych. Wyróżnia się zwłaszcza Polski Czerwony Krzyż — Oddział Stołeczny, paruset osobowa grupa z opaskami Czerwonego Krzyża na ramionach.

W czasie, gdy P. Prezydent w Cieszynie przyjmował rewiew wojsk i dokonywał dekoracji zasłużonych na Zaolziu i dla Zaolzia działaczy, bojowników i żołnierzy,

Nie zapominaj o tych,

którym zabrakło pracy i chleba.

ZŁÓŻ OFIARĘ NA POMOC ZIMOWĄ



Pan Marszałek wita się z przedstawicielami armii obcych.



Kobziarze strzelców podhalańskich.

Piechota — ta szara piechota.





Piechota.

w Warszawie odbywała się defilada przed wodzem naczelnym, marsz. Rydzem-Śmigłym.

Z uderzeniem godziny 11 ruszyły przed trybunę wodza, ustawioną na Placu Wolności, orkiestry, za nimi, za dowódcą defilady, batalion oficerski. Chłopy jak dęby, mundurowe płaszcze świetnie wyglądają. Dalej podchorążówki, lotnicy, marynarze.

Co za postawa męska i rycerska. Co za krok paradny, elastyczny, mocny, zapowiadający sukcesy, których echa brzmieć będą przez stulecia.

Skupiona wzdłuż trasy publiczność szaleje z zachwytu. Warszawa na ogół zimna rozgrzała się w ten jesienny, mdły poranek, ropromieniła się blaskiem tężyzny, bijącej od armii narodowej.

Brawa, oklaski, okrzyki — nie milkną, rosną, jak lawina, szumią nad ciszą ludzką, strzelają wysoko w niebo temperaturą niefałszowanego, prosto z serca, entuzjazmu.

Wreszcie piechota — królowa broni — pułk 21-szy „Dzieci Warszawy” — oczywiście owacja szczera, porywająca swym żarem. Uśmiechają się kochane żołnierzyki, twarze im jaśnieją, prężą się piersi, napinają mięśnie, a nogi biją mocny, miarowy takt, który niewątpliwie wskazuje nowe szlaki historii.

Dalej pułk 36-ty, „Legia Akademicka” — znów poryw entuzjazmu, wrzawy olbrzymiej, w której wypowiedzi się radość i duma warszawiaków.

Piechota zmotoryzowana — w górze samoloty.



Piechota zmotoryzowana nie chodzi pieszo.

— Niech żyje Legia! — zrywają się co chwila okrzyki, wzbijane wysoko potężnym unisono tłumów.

Lecz entuzjazm tłumów osiągnąć miał dopiero zenit na widok maszerujących górników z Karwiny w swych poważnych, czarnych mundurach, których strojność podkreślają piękne kogucie kitki na czapkach.

Dalej kroczą górale z Trzyńca — zuchy nad zuchami. Dziarska mina, krok sprężysty. Oko błyska zawadiacko, orlo! Z takimi na niedźwiedzia i na wroga.

Na ten widok same ręce składają się do oklasku, a ile tchu w piersi tłum wyrzuca okrzyk:

— Niech żyją! Niech żyją!

Najbardziej jednak zadziwiać warszawiaków miały Ślązaczki zaolzańskie, postrojone jak na weselisko i przy tym w stroje letnie, przejrzyste, prześwitujące, z odkrytymi szyjami i rękami, jakby to nie był listopad, lecz lipiec.

Oklaskom nie masz końca. A one uśmiechają się jak gdyby nigdy nic, jakby to rzecz zwykła paradować w takich pajęczych strojach na progu zimy nicomal. Dzielne dziewczęta.

Lecz defiladzie daleko jeszcze do końca. Idą teraz różne formacje pod bronią: harcerze, strzelcy — owacyjnie witani — częściowo w strojach regionalnych, przy czym zachwyty budzą Podhalanie i Huculi, wreszcie przysposobienie wojskowe, dalej harcerki i hufiec junacki z łopatom.

Oddział cyklistów.



— Cześć pracy! — słyhać z tłumu okrzyki.

Na zakończenie niespodzianka — kompania skoczków LOPP w pełnych kombinacjach lotniczych ze spadochronami, a za nią batalion Ochotniczej Służby Zdrowia Oddziału Stołecznego Polskiego Czerwonego Krzyża, świetnie umundurowany i wyposażony.

— Polski Czerwony Krzyż wiwat! — wita publiczność nadchodzących i gorącymi oklaskami kwituje ich dzielną postawę.

Wszystko to sprężystym krokiem przechodzi przed trybuną Marszałka, sztandary oddają salut, oficerskie szable z błyskiem czynią honory, obcasy biją w bruk mocne stakato żołnierskie. A Marszałek uśmiechem wita swą armię, jej formacje uzupełniające i pomocnicze, całe społeczeństwo pod bronią. Jego stalowy wzrok rzuca jeden rozkaz: „Maszerować”.

Czas teraz na konnicę.

Jadą już konne orkiestry. Szwoleżerzy — amarantowe rabaty. Konie jak potok górski, trzymane świetnie w cuglach. Oczy aż rwą się do tych blasków, które biją od szabel, lanc i broni.

Znów orkiestra. Świetny tamburzysta z ogromnym rozmachem wali w kotły. Powietrze drży od melodii. Stuk kopyt akompaniuje muzyce. Tłumy klaszczą, krzyczą, wiwatują, falują w tył, naprzód, zda się chciałoby chwycić w uścisk entuzjazmu jadące szeregi.

Dalej artyleria, lekka, polowa, ta, która zawsze była dumą polskiej armii. Są też haubice.

Zaszumiło w powietrzu, rozdarł je warkot motorów, pojęk śmigieł. To nadlatuje eskadra samolotów — dwa klucze stalowych żurawi — poprzedzające defiladę wojsk motorowych.

A tymczasem asfaltem ciągną już małe tankietki, działa przeciwlotnicze, wreszcie potężne tanki, wojska łączności z aparaturą radiową. Cała technika wojenna na kołach, cała saperska potęga.

Ziemia drży, powietrze jęczy od chrzęstu żelaza, warkotu motorów, stukotu stalowych walcy, błękitna mgiełka dymu pokrywa wszystko.

Jest taka wrzawa, szum i łoskot, że nie słyhać już wołania tłumów, własnych słów się nie słyszy.

I tu już koniec. Przez dwie godziny płynęła przez miasto potężna rzeka mężów zbrojnych wszelakiej broni i wzięła stolicę pod władanie czaru wojskowej potęgi, zdobyła ją nieodwołalnie, zapanowała niepodzielnie.

Od góry: Orkiestra szwoleżerów.

W środku: Artyleria lekka.

Na dole: Ciężkie czołgi.

Na dole z lewej strony: Artyleria najcięższa.



Pięcioletni okres wdowieństwa nie jest tak długi. Chciałaby pani drugi raz wyjść za mąż wówczas, gdy jest wiele kobiet, które z braku odpowiednich obiektów nie uczyniły tego po raz pierwszy. Nie można być tak zachłanną.

17) „Panie Dyrektorze!

Jeśli szuka WPan naprawdę dobrej żony, inteligentnej i rozumnej towarzyszkii oraz obowiązkowej gospodyni, to bardzo proszę o odpowiedź.

Jeśli typem W Pana jest nowoczesna lalka, żadna ekstrawaganckich przeżyć i imponowania światu, to w tym przypadku proszę zostawić mój list bez odpowiedzi, gdyż nie spełniłabym tych wymogów.

A może Pan szuka kobiety o sercu gołębiczy, temperamentem bachantki, a rozumie Salomona? A może i to jeszcze mało? O znam was, panowie świata, wymagania macie gigantyczne, a wzamian dajecie resztki zużytego serca i ciała.

Jeśli W Pan jesteście innym — niezawodnie odpiszesz, jeśli jednym z milionów — umilkniecie w poczuciu własnej winy i tej połowy rodzaju niby ludzkiego, do której sam należysz. — R. W.”.

Ta kobieta zjeje ku mężczyznom — mrówczanym jadem nienawiści.

18) „Wielmożny Panie!

Ja niżej podpisana, inteligentna, poważna, przystojna osobka, dosyć duża blondyna, postawna, niedzisiejszych zasad, prostoduszna, zamiłowana gosposia, pragnę zamienić swe myśli z godną siebie osobą.

Pełna humoru i radości życia pragnę udzielić ich innej osobie.

Jeżeli chce W Pan zaznać rozkoszy, proszę przyjąć dnia... o godz... — C. M.”.

19) „Szanowny Panie!

Ośmielam się Skreślić do Pana Pare Słówek Amianowicie Com Wycytała z Anonsu Kuryjera Zycyłałabym sobie chyntnie Z apoznać Pana j Zamienić S Panym kilka Słówek Codo Przyszłości Zycia Małżeńskiego Więc Otusz Przedstawiam się Panu Antonina K... Lat 49

Ciężka artyleria zmotoryzowana.



jezdem kobieta Zdolna do Zycia Małżeńskiego, utciwa Pochodze Swery Niszy Lec jezdem Jntelegintna uprzejma Grzeczna Przystympna do kazdego Azwłaszcza dla Mężna jezdem Bardzo Przystympna Mniesie Bardzo Podobna żyć razym Małozynstfie Naprawde Muwie Mam dobre Serce dla Mężna Lec Niestety Jamam Zycie Złamane zyje wsamotności jezdem Rozwutkąm Winy Mężna za tagze Szukam tom drogom dobrygo Przyjaciela ażeby zezyc te reszte zycia spokojnie j wzajemnie Wmiłosci kochac Lubie j Szanować Lubie Lec Niestety Nimam Kogo Niejezdem Bogatom dyzo Lec jezdem dobrom kobietom Mintki Natury taki Litościwy Pośiadam Dóm Własny Jedno Pientrowy 7 ubikacyj

Nadmieniam Panu Gotuwki Obecnie nieposiadam bo to Czensz jest niski Aprzeprowadzałam Remont Stawiałam komurki Więnc dlatego Niemam Jezdem Zawodu krawcowa kobieta jezdem Zdolna Gospodarna Całom kuchnie Jase Sama Prowadze Prosze Pana Ojlie Ja By Panu odpowiadała Pan By Namnie Reflięchtował to Prosze u Przejmie mi Liścik Otpisać Szpoważaniem Antonika K...”.

20) „Szanowny Panie!

Ogłoszenie Pana w mojem guście że puszukuje kandydatki na żone a ja męża dobrego tak że poszukuje i starszego pana i może by się to złożyło zebymy się nadali ja starsza panna wyży lat 30, określono mi bardzo miły i ślachetny wyglud i te słowa daleko brzmia. A więc jestem katoliczka dobrego wychowania i moralnego życia i szkole mam nie żeby dużo. I że według mego życia skromnie i przyzwojecie się ubieram i włosy mam długie uczesana gładko skromnie, i narazie pracuje w charakterze kucharki u jednej pani hrabiny, to jest na ulicy Wilczej nr... m... wejście na prawo z bramy wienc bardzo prosze o zgłoszenie łaskawe do mnie w godzinach od 4 do 10 wie tylko uprzedzam że jest swobodnie wejść od kuchni to jest na prawo spoważaniem — Kazia”.

Wyobrażam sobie starszego pana dyrektora, który za jeżdża przed bramę piękną limuzyną, a potem biegnie chyłkiem kuchennymi schodami i zadyszany dopada drzwi, za którymi czeka go szczęście — ona — wybranka serca. Chytra kobieta wie, że do serca mężczyzny trafia się przez żołądek, więc na wstępie częstuje pana dyrektora resztkami hrabiowskiego obiadu. Co za wdzięczna idylla.

Do wszystkich „starszych” panów dyrektorów z całej Polski i okolic zwracam się z zapytaniem: na którą kandydatkę reflektują?

Strzelcy podhalańscy.



NA FALACH CZASU

SPRAWY RODZINY

W Polsce.

Przypominamy uchwały naszego polskiego Synodu biskupów w Częstochowie, dotyczące rodziny i obowiązku rodziców zajmowania się naszym szkolnictwem.

Nie wystarczy światłe i pobożne życie osobiste, musi ono oddziaływać na innych, a przede wszystkim na rodzinę.

Aby rodzinę uświęcić i przepoić duchem religijnym, który najsilniej łączy członków rodziny ze sobą, Synod przypomina rodzicom, że pierwszą szkołą religii dla dziecka jest rodzina. Dlatego wymaga od rodziców, aby w duszach dzieci od najmłodszych lat budzili wiarę w Boga, uczyli je pacierza i podstawowych prawd chrześcijańskich, oraz dawali dzieciom przykład życia chrześcijańskiego. W miarę zaś, jak młodzież wzrasta, rodzice powinni ustawicznie uzupełniać jej katolickie wykształcenie i wychowanie (uchw. 119). Aby zaś mieć skuteczny wpływ na dzieci, winni sami rodzice cenić sobie wysoko godność małżeństwa, bronić jego nierozwawalności, czystości pożycia małżeńskiego i świętości rodziny, a przeciwstawiać się zasadom przeciwnym i zgubnym dla rodziny (uchwała 62 c.).

Synod także nawołuje do zachowania staropolskich praktyk religijnych w rodzinie. Zachęca rodziców, aby pacierz codzienny odmawiali wspólnie z dziećmi (uchw. 59), zaleca odmawianie w gronie rodzinnym Różańca świętego i modlitwy „Anioł Pański” (uchw. 113, par. 2), pozdrawianie się słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” (uchw. 112).

Osobny apel stosuje Synod do rodziców, aby dążyli do uzyskania szkół wyznaniowych, a zanim się to stanie, domagali się zniesienia koedukacji, oddzielenia w szkołach dzieci katolickich od żydowskich i żeby młodzieży katolickiej nie wychowywał nauczyciel innowierca (uchw. 122).

Rodzice winni mieć wgląd i wpływ, poprzez opinię i własne organizacje, na te licea i wyższe kursy pedagogiczne, które urabiają nasze młode zastępy nauczycielskie.

Na szerokim świecie.

Co dzieje się z rodziną w Rosji? Cała propaganda i reklamiarstwo władz sowieckich, dotyczące nawet takiej dziedziny jak ustroj rodziny, coraz bardziej się załamują. Załamanie to nie tylko jest konstataowane przez przyjaciół ustroju komunistycznego, po ich powrocie z Z. S. S. R. (o ile, rzecz prosta, sprawozdawcy ci są dobrej woli, a nie na żoździe G. P. U.), ale nawet na łamach własnych pism. Pisma takie jak „Izwestia”, „Leningradskaja Prawda”, „Socialistyczestoji Zemledielii” publikują tutaj fakty i cyfry, które są druzgocącą krytyką panujących tam stosunków.

Dlaczego w takim razie je publikują? Przecież nie łatwiejszego w kraju, w którym cała prasa jest w ręku jednej partii, przemilczeć o wszelkich niepowodzeniach!

Te publikacje są jednak dla samego ustroju *komiczne* i stanowią pewien „wentyl bezpieczeństwa”, gdy trzeba dowieść, że nie system, nie ustroj są winne, lecz ludzie.

Ludzi w Rosji jest dosyć. Za każde niepowodzenie najłatwiej pewne grupy ludzi obwinąć, zasądzić, rozstrzelać! W ten sposób wprowadza się nową propagandę przeciw „szkodnikom”. Pozwala to na utrwalanie systemu, na przekonanie o doskonałości koncepcji komunistycznej, wypaczanej jedynie przez zdrajców i burzycieli porządku i na coraz większe ogłupianie szerokich mas. Np. szczerza deklaracja uczonych akademii rolniczej im. Lenina w Moskwie, zamieszczona 12/VI 1937 w „Socialistyczestom Zemledielii”, która skonstatowała, że na skutek 20-letniego niedojadania, odbywa się stałe osłabienie sił życiowych i stopniowa degeneracja — zakończyła się zesłaniem uczonych do obozów koncentracyjnych. A teraz zobaczymy jaki jest stan rodziny i wychowania dziecka od samego początku jego istnienia.

Młody obywatel sowiecki jeszcze przed narodzeniem nosi jarzmo rewolucji. Dlatego 22.7% dzieci umiera przed pierwszym rokiem życia, wskutek wrodzonej słabości organizmu („Izwestia” 17/V 37).

W jakich warunkach odbywają kobiety porogi?

Narodziny.

Aby to osądzić, trzeba zbadać nie kilka wzorowych zakładów położniczych, które pokazuje się zwykle cudzoziemcom, ale zwykłe, w których bardzo niewielki procent dzieci przychodzi na świat. W drugiej stolicy Z. S. S. R. — Leningradzie — 85% połogów odbywa się poza tymi zakładami i bez żadnej pomocy lekarskiej („Leningradskaja Prawda” 18/VII 36).

Gazety sowieckie wykazują dokumentami, że poza małą liczbą zakładów stworzonych dla reklamy, zakłady położnicze są niesłychanie przeludnione, położnice leżą na korytarzach i w miejscach jeszcze mniej higienicznych. Brak w nich pomocy lekarskiej, bielizny, materiałów aptecznych, nawet zwykłej waty higroskopijnej.

Pierwsze lata życia dzieci.

Dziecko, które przeżyje brak koniecznych starań przy początku swego życia i nadal nie ma życia łatwego. W Moskwie trudno znaleźć konieczne rzeczy: bieliznę, pieluszki, kołyski, łóżka, wianienki itd... („Prawda” 29. III 37).

Co do żywienia i pielęgnacji dzieci sytuacja jest jeszcze gorsza. Rodzice, oboje pracujący poza domem, muszą wysyłać swe dzieci do żłobków. Ale tylko 7% dzieci w miastach może się zmieścić w żłobkach. I te nie mają opieki. („Izwestia” 17. V 37).

Gurewicz, zastępca komisarza ludowego zdrowia publicznego, daje w „Izwestiach” smutny obraz życia noworodków. Wielka liczba niemowląt ginie z powodu chorób przewodu pokarmowego. 83% dzieci jest pozbawionych mleka matki już w wieku od 2 do 4 miesięcy z powodu wyczerpania matki i niemożności karmienia dziecka, kiedy matka pracuje z dala od domu. Przeważnie nie może ona dziecka zabierać ze sobą. Trzeba więc kupować dobre mleko dla niemowlęcia, ale kosztuje ono od 1.50 do 2 rubli za litr i znów niedostępne dla kogoś, co zarabia 242 rb na miesiąc. Warunki mieszkaniowe w Z. S. S. R. są opłakane: mieszkania są tak przepełnione

I Baon Ochotn. Służby Zdrowia P. C. Krzyża Oddział Stołeczny na defiladzie.

Artyleria ciężka.



i niehigieniczne, że jest niemożliwością zapewnienia dziecku zdrowe warunki rozwoju.

Pieczliwość urzędów sowieckich.

„W Związku sowieckim dziecko jest królem. Dobrze ubrane, dobrze odżywione, szczęśliwe, jest przedmiotem specjalnej pieczołowitości” — oświadcza „La Voix du Peuple” (10. XII 37).

Gazeta „Krasnyj Sport” (3. XII 37) opowiada: „Nasza Jakowlewa skończyła nauki w Instytucie Kultury Fizycznej w Moskwie. Jest potrzeba pracowników tej specjalności. Ale gdziekolwiek się uda, gdzie zakochać, otrzymuje tę samą odpowiedź: — Macie dziecko, nie odpowiadacie nam”.

Ileż przykładów tego rodzaju można przytoczyć!

Oto jeden z tysiąca, wykazujący postawę władz w stosunku do kobiet, mających dzieci: „Pani Miroszniczenko, członek partii, ma dwoje dzieci: 7 lat i 10 miesięcy. W tych dniach starszy pokazał zachorował. Matka musiała pozostać przy dziecku. Była zatrudniona w Komitecie partii miasta Kijowa i przedstawiła świadectwo lekarza, stwierdzającego, że została w domu, aby pielęgnować chore dziecko — wypadek przewidziany przez prawo. Jednak ją zwolniono, a sekretarka Komitetu umotywowała zwolnienie, mówiąc: Komitet nie jest instytucją ubezpieczeń społecznych”. („Prawda” 20. III 38).

A nie zapominajmy, że w Rosji, w której jedynym prawodawcą jest państwo, zwolnienie z posady, to śmierć głodowa.

Ogródki dziecięce i schroniska.

W zakładach dla dzieci nie troszczą się o nie wcale. Żywią je źle: stąd liczne choroby, opieka lekarska żadna, dzieci chore zarażają inne. Często opieka nad ogródkami dziecięcymi jest powierzona prostym robotnikom. („Industria” 14. X 37).

W szpitalach dla dzieci personel jest niedbały do tego stopnia, że kobiety rozpaczają, widząc w jakim stanie są ich dzieci. Dzieci płaczą całymi godzinami i nikt się nimi nie zajmuje. Nawet temperatury chorym nie mierzą. Odżywianie jest złe i nieregularne, mleka nie ma. Rodzice muszą przynosić materiały opatrunkowe i watę higroskopijną. („Kirowskaja Prawda” 30. IX 37).

Inaczej w tym kraju równości traktowanie są dzieci obywateli dygnitarzy.

Dla dzieci wysokich urzędników są zorganizowane nowoczesne kolonie, jednocześnie przeznaczone do pokazywania zagranicznym delegacjom robotniczym i wybitnym zwiedzającym. Taką jest np. kolonia pionierów „Artex”, którą „La Voix de Peuple” (19. III 38) nazywa „rajem młodego pokolenia sowieckiego”.

Jest ona położona na południowym brzegu Krymu w „pięknych pałacach, które kiedyś należały do członków rodziny cesarskiej” i do ludzi bogatych. Naturalnie, że dziecko przeciętnego robotnika, zwykłego urzędnika, albo rzemieślnika nie ma żadnych szans dostania się tam. I ta kolonia jest jedyną w całej Rosji sowieckiej.

Sierocińce.

W sierocińcach życie jest nie do zniesienia i dzieci masowo uciekają. Pożywienie jest złe, traktowanie bardzo surowe, jeśli nie okrutne. Opieka lekarska nie istnieje i sierocińce są ogniskami chorób zaraźliwych dla okolicznych szkół. („Czerlabinskij Raboczi” 21. V 37). Sierociniec „Czerwona Jutrzenka” blisko Leningradu

znany jest w całej Rosji sowieckiej ze złego traktowania dzieci („Leningradskaja Prawda” 18. IX 37).

W Baku kierowniczka sierocińca zbiła do nieprzytomności 5-letnie dziecko za to, że rzuciło do łazienki piłkę. Dziecko potem było zamknięte w łazience, a jego brat, który próbował zanieść mu jedzenie, był tak silnie uderzony jakimś prętem żelaznym, że upadł. Zawiadomiona o tym milicja nic nie uczyniła. („Bakinskij Raboczi” 15. X 37).

Obowiązkiem żony szpiegowanie męża.

Szef G. P. U., Jeżow, wydał ostatnio dekret, dotyczący małżeństw urzędników G. P. U. Treść dekretu brzmi następująco: Urzędnikom G. P. U. nie wolno żenić się przed ukończeniem 24 lat życia.

Kandydatki na żony są obowiązane przejść przed zawarciem małżeństwa półroczny kurs ideologiczno-polityczny w specjalnym obozie przeszkoleniowym.

Żony urzędników G. P. U. obowiązują odtąd przymusowo należenie do „Klubu kobiecego G. P. U.”, którego przewodniczącą jest żona Jeżowa.

A teraz następuje najważniejsza część dekretu:

— Zadaniem członkiń klubu jest śledzenie swych mężów i czuwanie nad ich czystością ideową oraz wywiady wśród krewnych, przyjaciół i znajomych.

Męża obciąża odpowiedzialność za czyny i przekonania polityczne żony.

Słowem, żona urzędnika G. P. U. jest urzędowo zatwierdzonym szpiegiem własnego męża, rodziny i znajomych, podejrzanego przez nią o „nieprawomyślność”.

Istne piekło te Sowiety! Podobnie szatańskiej przewrotności nie wymagano nigdzie na świecie. Zofia Jankowska.

KOŚCIÓŁ I SPRAWY KATOLICKIE

Ostatni artykuł naczelnego redaktora „Osservatore Romano” o błogosławieństwie pokoju stwierdza, że Chamberlainowi w jego przezernej i szlachetnej misji pokojowej całym sercem towarzyszyła Europa. Tamisja przypomina światu okrzyk za pokojem, z jakim Namiestniczy Chrystusa na ziemi od szeregu lat zwracają się do umęczonych ciężarem zbrojeń i przerażonych widmem wojny narodów.

Jakże tragicznie brzmiało wołanie Benedykta XV w początkach wojny światowej: „Niech Nas usłyszają, gorąco prosimy, ci, w których rękach losy Europy spoczywają... Niech nie pozwolą, by głos Przyjaciela i Ojca przebrzmiał na próżno!... Błogosławiony, kto pierwszy gałązke oliwną pokoju podniesie i nieprzyjacielowi poda dłoń i rozsądne warunki rozejmu. Ład świata, postęp i bezpieczeństwo oraz spokój narodów spoczywają daleko więcej na dobrej woli i rozsądku, na poszanowaniu prawa i godności innych ludzi, aniżeli na ilości broni i na strasliwym pasie warowni”. (Odezwa Benedykta XV w sprawie pokoju, dn. 28 lipca 1915 r.).



PROSZKI MIGRENO-NERVOSIN
KOCUTER
GĄBECKIEGO
GRYPA, PRZEZIĘBIENIE
BOLE GŁOWY, ZĘBOWŁĄP
ZADANIE PROSZKÓW TYLKO W HIGIENICZNYCH TOREBKACH.



Ciemiśz

NA WĄTROBE
ŻOŁĄDEK, KISZKI
NERKI LUB PĘCHERZ

nij sok

ŚWIĘTOJAŃSKIEGO ZIELA MAGISTRA GOBIECA

WARSZAWA, MIODOWA 14
APTEKI I DROGERIE

Wojna nie prowadzi do pokoju. Gdy wojna minie, w zwyciężonym pozostaje nienawiść, a w zwycięzcy lęk. „Gdy wojna przemija — mówi Pius XI — pozostaje rosnąca obawa przed innymi, jeszcze bardziej strasliwymi wojnami — a wszystkie narody widzą się zmuszone żyć na stopie wojennej” (enc. „Ubi arcano”).

A jednak są ustroje w Europie, które pokładają wielkie nadzieje w wojnie. Jakim duchem jest przesycona ideologia nazich? Wskazuje na to choćby wydana ostatnio w III Rzeszy propagandowa książka „Historia Niemiec, widziana oczami narodowych socjalistów”, której autor, Eric Jochberg, dowodzi, że element wojny jest nieodzowny dla utrwalenia wielkich Niemiec. „Możemy się tylko rozwinąć przez wojnę — woła Jochberg. — Proces jednoczenia naszej ojczyzny zaczął się przecież od wojny austro-pruskiej w r. 1866. Wtedy dopiero dojdziemy do potęgi prawdziwej, gdy forty Paryża staną się rodzicami chrzestnymi naszych dzieci i gdy na swe chrzciny usłyszą one zamiast dzwonów kościelnych grzmot armat”.

„Czy dyktatorzy wierzą w wojnę?” — pytuje Paul Struye w swym studium o polityce faszystwu. — „Tego nie wiemy, ale słyszymy, co mówią o wojnie. Dn. 18 maja 1930 r. we Florencji Mussolini wołał: „Słowa takie, jak traktat, pokój, rozejm itp. — to są piękne rzeczy. Ale karabiny, mitraliery, pancerniki, samoloty i armaty — to raczej jeszcze piękniejsze!... Tylko wojna sroawadza maksimum nateżenia energii ludzkiej... Wojna jest tym dla człowieka normalnego, czym macierzyństwo dla kobiety”.

Lecz wydaje się, że ta apoteoza wojny w państwach dyktatorów — to tylko chwyt taktyczny. Czasy są bowiem takie, że w głębi duszy coraz więcej mężów stanu i kierowników państw zaczynają rozumieć, iż wojna nie osiąga już dziś żadnych pożytecznych celów.

Czasy są bowiem takie, że Europa w sprawie wojen jakby zmądrzała... Ludzie się straszą co prawda więcej niż dawniej, ale zanim wezmą się do strzelania, zastanawiają się długo, czy warto, czy się opłaci i jak się to wreszcie skończy, czy nie byłoby to już tym razem „finis Europae”?... Jeszcze chodzą po ulicach kaleki z ostatniej wojny. Jeszcze nie obeschły łyzy po poległych. Jeszcze powojenna nędza wyciera z zakamarków życia...

„Ludzie znowu tak dziś do rzezi się nie śpieszą — pisze Robert d'Harcourt — choć puszczono w ruch wszystkie sztuki straszania, suggestionowania i tyraniowania mas. Oficjalna międzynarodówka dyplomacji w Genewie siedzi z założonymi rękami, patrzy ze wstydem, jak pierwszorzędne problemy pokoju załatwiają mężowie odpo-

wiedzialni „w cztery oczy” w taki sposób, że ustaje błaga, a mówi się rzeczy groźne i proste, które sprowadzają się do jednego: że „lepszy w zatargach międzynarodowych rozsądek niż armaty”.

Dn. 16 lipca rb. w przemówieniu swym w Castelgandolfo, Pius XI, przyjmując na audiencji siostry zakonne, w obecności kardynała Sekretarza Stanu, podkreśla błędy i niebezpieczeństwa przesadnego nacjonalizmu, powodującego bezpłodność wysiłków misyjnych, wznoszącego bariery, dzielące jednych ludzi od drugich, przeciwnego nie tylko prawu Bożemu, ale i samej wierze, sprzecznemu ze słowami „Credo”: „Wierzę w święty Kościół powszechny”, przeciwnemu wreszcie tej wielkiej idei, którą głosił Boski Zbawiciel, mówiąc: „Idąc tedy, nauczajcie wszystkie narody”.

Kościół potępia w przesadnym nacjonalizmie zasadę „polityka przede wszystkim”, głoszoną w swoim czasie przez „Action Française” („politique d'abord”). W przemówieniu konsystorialnym z dn. 20 grudnia 1926 r. znajdujemy takie zdania: „W żadnym razie nie wolno katolikom należeć do przedsięwzięć lub jakiegokolwiek szkoły tych ludzi, którzy stawiają korzyści partii ponad religią i chcą religię oddać na usługi partii... Również nie może Ojciec św. uznać, aby polityka partii kierowała się zasadami odległymi od doktryny i moralności katolickiej”.

A więc Kościół nie uznaje polityki nacjonalizmu, która posługuje się „wszystkimi środkami” bez wyhoru, czyli metodą postępowania, hołdującą zasadzie: „cel uświęca środki”. Dlatego m. in. w r. 1926 z polecenia Piusa XI ukazał się dekret Kongregacji Św. Kolegium, potępiający dzieła Karola Maurrasa i dziennik „Action Française”, szerzących tzw. „integralny nacjonalizm”, który doprowadził na terenie Francji do pogańskich poglądów w dziedzinie zagadnień społecznych oraz zapatrywań na państwo, w którym Kościół ma być rzekomo tylko jednym z fundamentów, podtrzymujących ład i porządek, a nie instytucję niezależną i nadprzyrodzoną, której powierzone zostało kierownictwo duchowe ludzkością.

Należy jednak z naciskiem podkreślić, że Ojciec św. potępia jedynie nacjonalizm przesadny i źle zrozumiany i że taki tylko nacjonalizm uważa za zjawisko błędne i niebezpieczne. W ostatnich czasach, w przemówieniu swym do alumnów Kolegium Propagandy dn. 21 sierpnia rb., Ojciec św. wyraźnie zaznacza, że istnieje sprawiedliwy, umiarkowany, powściągliwy nacjonalizm, któremu towarzyszą wszelkie cnoty.

Z PIŚMIENICTWA

W Polsce.

O kult Sienkiewicza. Wzniesienie pomnika Henrykowi Sienkiewiczowi w Warszawie, umocnienie kultu dla zasług wielkiego pisarza jest naszym obowiązkiem narodowym, nie tylko potrzebą serca. Mi-

łość do twórcy „Trylogii”, „Krzyżaków” i „Quo vadis?” nie tylko nie wygasa, lecz przeciwnie, rozszerza się i pogłębia wraz z rosnącą oświatą ludu. Niestety, warstwy oficjalnie poniekąd reprezentujące u nas pieczęć nad kulturą przez dłuższy czas ujawniały swój chłód wobec Sienkiewicza, a w tak zwanym okresie „Jędrzejewiczowskim” rugowały nawet jego arcydzieła ze szkół. Wskutek tego komitet budowy pomnika Sienkiewicza w Warszawie nie mógł dotychczas zebrać środków, godnych sławy i zasług wielkiego patrioty-pisarza.

Jednakże obecnie kult Sienkiewicza zaczyna się objawiać na nowo z żywiołą siłą. Najznamienniejszym może wyrazem tego było wzniesienie kopca w Woli Okrzejskiej, pod Łukowem, w miejscu urodzin autora „Ogniem i mieczem”. Data poświęcenia tego kopca i oddania go społeczeństwu zbiegła się jednak z tak ważnym momentem dziejowym odzyskania przez nas ziemi zaolzańskiej, że echo uroczystości sienkiewiczowskiej znalazło nikły oddźwięk w prasie. Obecnie, kiedy życie, niesione wartkim prądem politycznych wydarzeń wraca do normalnego biegu, pragnę choćby z opóźnieniem zapoznać Czytelników „Rodziny Polskiej” z przebiegiem uroczystości okrzejskiej.

Na równinie wśród lasów skupiły się u stóp kopca reprezentacje całej Polski, lud wielotysięczny z Podlasia i oddziały wojskowe w postawie wspaniałej. Mszy św. polowej, odprawionej przez JE. biskupa Łukomskiego, wysłuchali również najbliżsi: syn i córka Sienkiewicza z rodziny. Pasterz podlaski, JE. biskup Przeździecki, główny krzewiciel kultu Sienkiewiczowskiego w jego rodzinnych stronach, rozrzewnił rzesze słuchaczy wspomnieniem swojej z nim współpracy. Wielkie wzruszenie wywołał zwłaszcza opis Sienkiewicza na krótko przed śmiercią, zatrzonego o losy wojny i twierdzy Verdun, którą Niemcy wówczas zaciekle szturmowali, widząc w niej klucz do zwycięstwa.

„I oto — mówił biskup — przed samą śmiercią zstąpiła na Sienkiewicza widoma łaska pocieszenia z niebios. Z płomieniem w oczach chwycił ją rękę w swoje wychudłe dłonie i rzekł szeptem, ale z mocą niezłomną: — Verdun wytrzyma szturm, cznie to wyraźnie i wiem, wiem na pewno, że Polska odzyska niepodległość!”

Proroczo brzmiały te słowa w ustach człowieka, który Polskę uzbroił orężem ducha w czasach, gdy armie trzech zaborców czuwały nad jej rozbrojeniem i bezwładem przymusowym.

Przedstawiciel polskich zreszeń literackich, St. Miłszewski, uwydatnił niespożyty zasługę Sienkiewicza jako bojowca, który ducha wojskowego w bezbronnej Polsce podtrzymał i wbrew całemu światu rozwinął:

„Dlatego — rzekł mówca — ten kopiec z ziemi ojczystej przystoi Sienkiewiczowi, bo od pra-wieków kurhanami czczono w Polsce rycerzy. Kopiec okrzejski, to symbol walki Sienkiewicza o wolność Polski, walki zaczętej w dziedzinie ducha, a zakończony zwycięstwem realnym na ziemi”.

Uroczystości przewodniczył wiceminister Aleksandrowicz. W imieniu Macierzy Szkolnej złożył hojny dar dyrektor Józef Stemler w postaci licznych kompletów dzieł Sienkiewicza dla bibliotek szkolnych Podlasia. Główny zaś inicjator kopca, ks. dr Antoni Kresa, w serdecznych sło-

wach wyraził wdzięczność dla wszystkich, którzy pojęli i wsparli jego ideę.

Akademik *załobną* ku czci śp. prof. Mariana Zdziechowskiego rozpoczęło Zjednoczenie Polskich Pisarzy Katolickich nowy okres działania. Wobec licznie zgromadzonej publiczności, prezes Zjednoczenia zagał uroczystość, uwydatniając w zmarłym jego czyny katolicyzmu. W tym szerszym uczuć religijnych nie było nic z demagogii, chociaż poruszał zagadnienia, zapalne jak dynamit. Neopoganizm, bolszewizm, w jego różnych odcieniach, masonerię w jej jądrze i licznych rozgałęzieniach — oceniał Zdziechowski z mstwem w imię prawdy. Ona jedna, ta prawda, obchodziła go. Uczyniwszy przegląd ideologii w państwach dzisiejszych, doszedł do wniosku, że ludzkość już stanęła w *obliczu końca* (taki tytuł nosi ostatnie dzieło Zdziechowskiego), w obliczu kresu kultury.

Lecz tak tragiczny, zdawałoby się pogląd, nie wzbudzał weale w Zdziechowskim rozpaczy. Przeciwnie, czerpał on z niego raczej *metafizyczną* otuchę, godną prawdziwego wyznawcy Chrystusa.

Główny referat wypowiedział ks. W. Lewandowicz, dyrektor Akcji Katolickiej. Był on uczniem profesora Zdziechowskiego, a więc bezpośrednie obserwacje połączył z definicjami naukowymi, dając sylwetę zmarłego niezwykle trafną i wyposażoną w rysy indywidualne. W prof. Zdziechowskim mówca widzi nie tylko człowieka nauki, ale przede wszystkim *wcielenie* uczucia religijnego. Dzięki temu wykłady jego sprawiały wrażenie natchnionych dzieł sztuki.

Tegoroczną nagrodę literacką miasta Warszawy otrzymał akademik Leopold Staff za całokształt działalności. Świat katolicki z radością wita wybór poety, który w ostatnich latach pracami swymi zadokumentował swoje stanowisko głęboko katolickie i stanowi dzisiaj chlubę naszej poezji religijnej, jako autor zbioru poezji pod ewangelicznym tytułem „Ucho igielne”. Ton tej książki wyraża się najpełniej w przedwziętym pięknym wierszu:

„Kto szuka Ciebie, już znalazł Ciebie;
Już Cię ma, komu Ciebie trzeba;
Kto tęskni w niebo Twe, jest w niebie;
Kto głodny go, je z Twego chleba.

Nie widzą Ciebie moje oczy,
Nie słyszą Ciebie moje uszy;
A jesteś światłem w mej pomroczy,
A jesteś śpiewem w mojej duszy!”

Tylko prawdziwy, a głęboko wierzący poeta mógł się zdobyć na tak przejmująco piękną prostotę. Wanda Miłszewska.

Za granicą. — We Francji.

1 listopada, w dzień Wszystkich Świętych, zmarł wielki poeta francuski, Francis Jammes. Zmarł on w dniu, w którym odbywały się obłóczyny jego córki, która wstąpiła do klasztoru. Niedługo przed śmiercią Francis Jammes, czując trawiającą go chorobę, wydrukował w „La Nouvelle Revue Française” rodzaj testamentu, który odbił się głębokim echem wśród jego przyjaciół. Urodzony w r. 1868, Jammes należał do seniorów poezji francuskiej. Dla tych, co znają dzieje literatury francuskiej w końcu zeszłego stulecia, nazwisko jego nie jest obce. W roku ubiegłym Francis Jammes przyjechał do Paryża, gdzie przemawiał podczas manifestacji literackich na wystawie i spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem, mimo iż w ostatnich latach żył prawie w zapomnieniu. Jammes był czło-

FABRYKA BIELIZNY I KRAWATÓW
pod firmą
ZAKŁAD PRZEMYSŁ. - HANDLOWE
CZARNOWSKI I JEZUITKOWSKI
Sp. z o. o.
WARSZAWA, UL. RYMARSKA 8
poleca swoje wyroby: bieliznę męską,
kółnierze białe sztywne, krawaty,
chustki męskie ozdobne i materiały
popelnowe na bieliznę z własnej tkalni
w Łodzi.

kształcić się w pełną goryczy postawę zupełnego odosobnienia i rezygnacji z czysto ludzkiej miłości wraz z jego dolą-niedolą — pełnymi barwami lśniło w wyrazistej grze Eichlerówny.

„Papa Nikoluzos”, zagrany na deskach T. Polskiego, to jeden nieprzerwany hymn pochwalny na cześć ojcowskiej miłości, przyprawiony dla lekkostrawności satyrą na zwyrodnienie elity greckiego, a zresztą i nie koniecznie greckiego społeczeństwa. Ta satyra ma tak żywe rumieńce, że budzi oklaski polskiej widowni przy otwartej kurtynie.

Papa jest rzeczywiście postacią wyzwaną z najgłębszych pokładów uwielbienia dla ojcowskiego serca. Sary Nikoluzos, poczciwy handlarz wina z Pireusu, zrobił wszystko, żeby wykształcić swego syna i dać mu pozycję społeczną. Chłopak jest adwokatem i do tego wszystkiego kandyduje na posła. Ożenił się poza tym z panną z tzw. towarzystwa. Z ojcem widuje się rzadko. Zapomniał o nim — niewdzięcznik. Aż tu nagle spada do Pireusu, żeby zabrać ojca do siebie. Dlaczego? Ano, bo chce przedzierzgnąć go w światowego kupca nafiarcza. Handlarz wina — to trochę kompromituje p. posła i in spe — ministra — jak wyznaje szczerze i bez ogródek. Ojciec się buntuje. Ale czegoż się nie robi dla umiłowanego dziecka. I teraz zaczyna się farsa na całego. Papa zmienia skórę, odrzuca fartuch, przywdziewa marynarkę, ba, nawet frak. Ile stąd płynie groteskowych powikłań i krótkich spięć, to już niech sami widzowie osądzą. Lecz stary Nikoluzos — który zresztą dla miłości syna pozwala sobie również „obciąć” nazwisko na Nikolas, nie pozwolił sobie obciąć sumienia. Po dawnemu zło nazywa złem, a dobro — dobrem. W zatechłej atmosferze snobelity greckiej, a może i nie tylko greckiej, wnosi ożywcze tchnienie czystości moralnej i uczciwości działania. Pod tym względem sztuka robi duże i głębokie wrażenie. Naczelną rolę kreował Kurnakowicz, z właściwą sobie dynamiką i rozmachem. Włał w postać Nikoluzosa szczerą pierwowzrost, zdrowej natury i umiał ją utrzymać przez cały ciąg widowiska.

Staroświecką nieco, a pełną werwy komedię wskrzeszono na scenie T. Małego pt. „Rozwiódzmy się”. Sztuka przedstawia nam narastający konflikt małżeński, który kończy się w pierwszej fazie hasłem „rozwiódzmy się”, by następnie dojść i doprowadzić do umocnienia nadwątlonego związku. W kierunku tego morału, że małżeństwo to rzecz poważna i trwałą, zmierza autor dość zręcznie, przedstawiając „blaski i nędze pożycia małżeńskiego”.

W Teatrze Malickiej wystawiono sztukę Chrzanowskiego „Rower japoński”. Tytuł sztuki wprowadza w błąd, gdyż poza paru słowami o japońskich rowerach cała rzecz dzieje się w Polsce i jest satyrą na zatechłą atmosferę rodzinną. Młody człowiek o aspiracjach artystycznych zostaje postawiony poza nawias rodziny tylko dlatego, że śmie od niej oczekiwać pomocy w ciężkiej sytuacji materialnej. Gdy jednak karta się odwróciła i zabłyśły koło niego miliony, ta sama rodzinka, która go przed chwilą wykleła, czółga się teraz u jego nóg i oblesnie zabiega o „pożyczki”. Autor umiał nakreślić w szeroko malowanej syntezie tę dulszczyzną moralną rodzinki, a raczej hordy dzikusów moralnych, która przez przypadkowość wspólnego pnia rodowego zsolidaryzowała się w robieniu prawnym i lewym interesów, w łapaniu okazji

wbrew choćby „świętym zasadom”, które przed chwilą głosili. Satyra jest mocna i dobrze scenicznie pokazana.

W T. Kameralnym po 50-ciu przedstawieniach „Głębi na zimnej” wchodzi na deski sztuka „Rodzina Thierry” w pełnej obsadzie z Adwentowiczem i Grywińską na czele.

„Jean” w T. Letnim jest sztuką wystawioną jak gdyby ad hoc odbywających się w kraju wyborów. Anegdota o lokaju pana prezesa rady ministrów, który został posłem z partii socjalistycznej i obalił gabinet swego pana — brzmi aktualną nutą.

Niezrównaną kreację premiera stworzył Junosza Stępowski, dawno nie widziany na scenie. Tchnął w tę postać sercem napisaną przez autora cały naturalny swój wigor, uczynił ją życiowo prawdziwą w najbardziej nawet paradoksalnych sytuacjach. Tryumf to wielkiego aktorstwa. cki.

FILM

Jesteśmy najwidoczniej w pełni sezonu. Świadczy o tym istna inflacja filmów produkcji polskiej. Każdy reżyser stara się puścić na ekran plon swej letniej czy letnio-jesiennej pracy.

Duże powodzenie, jako scenarzysty, ma Dołęga-Mostowicz. W tej chwili w Warszawie idą jednocześnie chyba ze trzy jego filmy. Więc „Znachor”, który zgrywają aż do dna popularności drugoekranowe kina. Dalej na zeroekranie „Prawo do miłości”, osnute na tle powieści Dołęgi-Mostowicza „Ostatnia przygoda” i wreszcie dalsze dzieje „Znachora” pt. Profesor Wilczur.

Cóż by tu powiedzieć o filmowanych powieściach Dołęgi? Nie ulega wątpliwości, że ogromny zmysł realistyczny tego autora, jego obrazowe przedstawienie konfliktów po prostu predystynują go do kina. W powieściach jego jest przerost fabuły, wielka obfitość sytuacji i konfliktów, które czyni z tych powieści tak swoisty przysmak dla czytelników żadnych sensacji, które jednak na ekranie muszą ulec niekorzystnemu dla przejrzystości dramatycznej, słotczeniu i robią wrażenie nieprzyjemnego nadmiaru. Widzimy to zupełnie wyraźnie w filmowanym „Znachorze”, gdzie wątek życia prof. Wilczura — występującego w masce znachora — wikła się i jest spychany przez fabulację przygód jego córki. Reżyser nie pokazał w tym wszystkim swego lwiego pazura przez zerodkowanie tych wątków, przez prawdziwie dramatyczne ich spięcie i pogłębienie, choć potrafił przecież bardzo szczęśliwie skrócić i symbolicznie podmalować epizod z żoną profesora na leśniczówce. Czyż nie byłoby takim silnym skontaktowaniem dwu bohaterów filmu wyrażenie pierwszego ocknięcia się prof. Wilczura w znachorze Kosibie w chwili, gdy dokonywuje operacji na swej córce (którą reżyser uczynił tak uderzająco podobną do swej matki, a żony profesora, by następnie żadnych z tego nie wysnuć konsekwencji?).

Trzeba stwierdzić, że pod względem uwydatnienia środkami czysto filmowymi dramatycznej siły przedstawianego konfliktu polska kinematografia dużo jeszcze musi zrobić dla dorównania zagranicznej.

Widzimy to zarówno na bardzo ciekawej — jako — anegdota — „Ostatniej brygadzie”, która na ekran weszła pt. „Prawo do miłości” — jak również na „Granicy”, będącej wolną przeróbką powieści Zofii Nałkowskiej. Ktoś powiedział z tej okazji, że nawet przerabianie „wolne” powieści na

ekran powinno nie przekraczać granic przyzwyczajenia.

Powieść Nałkowskiej „Granica” odznacza się bardzo ciekawą ekspozycją, wyrażoną na wskroś filmowym efektem w stylu kryminalnej sensacji, w następstwie niezwykle subtelnie przeniesionym na głębsze tło psychologiczne. Wydawałoby się, że taka powieść może być wdzięcznym wątkiem dla reżysera. A jednak! Co z tego wszystkiego wyszło — trzeba pójść i zobaczyć!

Głęboko umotywowana zbrodnia opuszczonej dziewczyny, zabijającej sprawcę swego losu, tak bogatym podmalowana tłem, na ekranie zbladła, stała się prawie niezrozumiałą. Można mieć do Nałkowskiej takie czy inne pretensje z powodu jej swobodnego amoralizmu, ale nie można uznać takiego trywializowania jej koncepcji.

Raz jeszcze podkreślić wypadnie, że umiejętność przekładania beletrystycznych motywów na język obrazów filmowych — wciąż jeszcze nie została opanowana przez polską kinematografię.

Porównajmy choćby wspomnianą tu czołową w bieżącym sezonie dzieła polskiej kinematografii z takim filmem, jak „Jezebel”. Historia dziewczyny igrającej z męskimi sercami, jak drapieżne zwierzątko, jest pokazana mistrzowsko w plastycznych skrótach. A jakże wspaniale zarysowana została następnie przemiana duszy Jezebel, nie na darmo noszącej biblijne imię. Wstrząsający jest obraz końcowy, kiedy Jezebel siada na wóz sanitarny, którym mają zawieźć na miejsce odosobnione jednego z jej konkurentów, ongiś okrutnie odtrąconego. Dziś śmiertelną dotkniętego zarażą Jezebel bierze pod swoją opiekę, bierze — choć bardzo prawdopodobne jest, że wypadnie jej podzielić ten sam los. Ruszające w drogę w takt marsza żałobnego wozy sanitarne wyraźnie o tym mówią. Oto wspaniała konkluzja moralna, wyrażona doskonałą formą filmową!

Na wskroś filmowy jest „Robin Hood” z Erynolem Flynnem w roli tytułowej. Postać tego mitycznego bohatera pokazana nam została w bajecznie kolorowej (film został wykonany technikolorem) i bajecznie przeszarżowanej interpretacji. Ale jest w tym wszystkim wizja piękna, głęboko przemawiająca zarówno do artystycznej wyobraźni, jak i moralnej wrażliwości widza. Budzą zazdrosny podziw akrobatyczne nieomal wyczyny Robina, a jednocześnie spotyka na zdecydowaną moralną próbą jego walka rycerska z różnymi czarnymi charakterami. Świetna bajka filmowa dla starszych i młodszych widzów.

„Złotowłosa” z Jeanette Mac Donald jest jednym z najlepszych filmów z tą uroczą artystką i znakomitą pieśniarką. Fabuła filmu urozmaicona do granic możliwości. Nie brak scen o najwyższym napięciu dramatycznym, nie brak nieodzownego w amerykańskich filmach komizmu, jest duże pole dla popisu słowiczego głosu Jeanettki i męskiego jej partnera. Historia miłości wiernej aż do samozaparcia, której bohaterką jest „Złotowłosa”, przykuwa nas od pierwszej chwili, tży wyciska i porusza do głębi nasz zmysł dramatyczny. „Złotowłosa” zakochała się w nieznanym, który okazał się, niestety, rozbójnikiem. Lecz miłość jej nie jest tylko przelotnym kaprysem, jest ofiarna i wzniosła. Aby ratować ciężko rannego narzeczonego, choć odkryła i poznała jego przeszłość, oddaje rękę jego prześladowcy. Przedstawiająca to scena jest jedną z najwspanialszych w całym filmie,

niewątpliwie budzącym dreszcz grozy i najgłębszego współczucia dla bohaterki, jak przedtem przyjaznego podziwu dla uroczej sielanki we dwoje.

I znów mamy możność podziwiać w tym filmie umiejętne stopniowanie efektów, rozłożenie światła i cieni dramatycznych ręką tak pewną, że ani na chwilę nie pozwala to osłabnąć uwadze widza, czego nie zawsze doświadczamy na polskich, czołowych filmach.

PLASTYKA

Wystawa w Zachęcie.

Stosownie widać do pory roku, do tonu smutnego, szarego nieba — cała wystawa obecna w Zachęcie przedstawia wybitnie monotony widok. Nieco południowego słońca wniósł ze sobą bułgarski artysta *Mikołaj Taneft*, malujący z wielkim opanowaniem technicznym swoje miłe krajobrazy, w masie jednak widziane czynią wrażenie dosyć jednostajne. Poszczególne zaś biorąc posiadają doskonałe efekty malarskie.

Jerzy Rupniewski, również biegły w swoim fachu malarz, niestety, w cyklu swych wnętrz zachowuje pewną gwaszową jednostajność, i o ile przedstawia „Stare Miasto pod wieczór zimą”, mroczną salę Wawelu, zwłaszcza tę z arrasem „Potopu”, lub z biblioteką — wywołuje odpowiedni nastrój. Gorsze wyniki są, gdy artysta zastosowuje swoistą technikę do plenerowego krajobrazu — wymagającego barwnego tonu i żywego światła. Obrazy pejzażowe *Rupniewskiego* czynią wrażenie raczej doskonałej podkolorowanej grafiki, a nie właściwej akwareli, lub tempery. Zato w marynistyce artysta porusza się swobodnie i z dużym dodatnim wynikiem. Zupełnym nieporozumieniem malarskim są prace *Heleny Teodorowicz-Karpowskiej*. Z olbrzymiego tematu, jakim jest w ogóle egzotyka, nie widzimy wiele w wystawionych obrazach. Artystka pokazała liczny szereg właściwie studiów pracownianych, gdzie uwidoczniła się dopiero szukanie właściwej formy, brak syntezy i kompozycyjnego ujęcia tego, co artystka pragnie wypowiedzieć. Najlepiej jeszcze przedstawiają się „Banany”. — Wybitną monotonią odznaczają się widoki chat *Wacława Bielawskiego*. Jedno, względnie parę studiów podobnych, czyniłoby miłe wrażenie, w masie musi znużyć. *Henryk Krych* dużo posiada wiadomości, daje tego dowód w kilku bardzo interesujących pracach, dłaczego zatem tworzy naumyślnie bazgroły na zielono nie wiadomo — dla podkreślenia modernizmu figuruje obowiązkowy ślędz. Obrazy *Mariana Klalika* zamykają cykl wystaw zbiorowych. Z wystawy ogólnej wymienić należy *S. Dybowskiego* („Polana w lesie”), *Z. Karolkiewicza* („Motywy z Italii”), *T. Marczewskiego* („Bałtyk w zimie”), *T. Nartowskiego* („Kolegium Jezuitów w Jarosławiu”), *M. Nehringa* („Portret konia”), *A. Suchan-ka* („Studia morskie”).

Wystawa: „Dziecko w Polsce”.

Wystawa mieści się w dawnym budynku fabrycznym Bormana (przy ul. Nowogrodzkiej nr 74), obecnie własność Ubezpieczalni. Należy przyznać, że z tych dużych hal zdołała ręką dekoratora pod kierownictwem artystycznym inż. arch. *Bolesława Przyłuskiego*, przy pomocy wykonawców: *Janiny Niezabitowskiej* i *Józefa Pakolskiego* wy-



tworzyć korzystne dla oka przestrzenie. Na parterze w półkolu umieszczony jest biust marszałka *Józefa Piłsudskiego*, dłuta *Franciszka Strynkiewicza*, w głębi półkola widzimy rozwinięcie plastyczne siedmiu tematów: „Dziecko małe i bezradne potrzebuje czułej opieki”, (4 rodzaje), „Dzieci polskie — trzecia część ludności”, „Rozwój ludności — podwaliną potęgi i państwa. (Po Japonii (14,8) — Polska ma największy przyrost naturalny (12,0). Naprzeciw półkola na zielonym tle wykres opieki nad dzieckiem Ministerstwa Opieki Społecznej (przeszło 2 miliony dzieci znajduje opiekę). Na prawo ukazuje się nam: dziecko w sztuce, dzieł przedstawiony bardzo słabo — właściwie lepiej, żeby go nie było, kilka obrazków, za to wiele stosunkowo główek dziecięcych w rzeźbie. Na lewo ujęcie plastyczne tez: „Rosną i rozwijam się”, „Czystość, to zdrowie”, „Odpowiednie pożywienie”, „Chcę żyć” (kłęska największa w kraju, ginie rocznie 120.000 dzieci, wyszczególnienie przyczyn), „Lubię spokój”, „Muszę mieć dużo powietrza i słońca”, „Wśród pól, lasów i ogrodów” (ogrody *Jordanowskie*), „Groza chorób”, „W domu rodzinnym”, „Bez opieki na rozdrożu”, „W zakładzie opiekuńczym” (w 881 zakładach znajduje opiekę około 100.000 dzieci, w wiejskich ogniskach matki i dziecka znajduje opiekę około 200.000 dzieci), „Znów w rodzinie”, „Żłóbki dla niemowląt”, „Przedszkole pomaga wychowywać”, „Szkoły w Polsce”, „Wybór zawodu”, „Koleżeństwo”, „Sznuj w dziecku człowieka”.

Każda teza rozwinięta jest krótkimi, jedynymi zdaniem, poparta stosowną statystyką, ujętą najczęściej plastycznie fotomontażami, wycinanymi sylwetami, fotografiami itd. Zatrzymują wzrok duże, doskonałe fotosy, ilustrujące brak opieki w życiu dziecka, zaczynającego się od próżniactwa, a kończącego się przestępstwem — tytuły tych obrazów: „Ciężnie szeroki świat — ulica — przygoda. — Uciekamy od nędzy, uciekamy od niesprawiedliwości opiekunów, szukamy zarobku, a w braku zarobku żebrzemy, gdy żebrania zawiedzie — kradniemy”. A przy pokazie szanowania dziecka: „Dziecko inaczej czuje i myśli, i rozu-

mie niż dorośli”, „Dziecko wszystkiego ciekawe, wnuknij w pytanie jego, nie odpowiadaj szorstko”, „Dziecko ma często niezwykłą wyobraźnię, nie bierz tego, co mówi za rozmyślnie kłamstwo, nie karz go za to i nie wysmiewaj”...

Jakby jeszcze dalsze rozwinięcie owych naczelnych hasła, na półpiętrze i dwóch piętrach organizacje i instytucje społeczne dają przegląd swej działalności.

Każdy z wymienionych zespołów i instytucji zorganizowała swój odrębny pokaz, posługując się rozmaitymi technikami, fotomontażem, figuralną wycinanką, uplastycznioną statystyką, modelami. Wyroby nieraz bardzo artystyczne zakładów wychowawczych, szkół, towarzystw itd. dopełniają barwnej całości, przetykając je stosownymi napisami, streszczającymi naczelne zadania danej instytucji przy wcielaniu ich.

Poza tym znajduje się na wystawie szereg stoisk z pokazami oddziałów wojewódzkich kongresu dziecka: zatem woj. lwowskiego (najpiękniej i najbogaciej obставany), łódzkiego (Łódź pierwsza wprowadza w szkołach obowiązkowe dożywianie dzieci), poznańskiego, śląskiego, wileńskiego. 19 firm przemysłowo-handlowych posiada swoje stoiska.

W całej wystawie, w której pokazanie (i należy przyznać z wielką energią i zapaleciem) występują organizacje i instytucje socjalistyczne, żydowskie oraz oficjalne szkolnictwo, gdzie wiemy, niestety, jak silne są akatolickie lub wręcz antykatolickie prądy, akcent religijny i wzmianki o Bogu są rzadkie — właściwie spotyka się dwa razy, raz przy harcerstwie i przysposobieniu wojskowym w motywie: „Bóg i Ojczyzna ponad wszystko” i drugi raz w napisie: „Wychowanie moralne i religijne kształtuje charakter młodego pokolenia”. Uzupełnienie widzimy w fotomontażu kapliczki okolonej dziećmi i znowu napis: „Dopuszczenie działkom przyjdź do mnie, a nie zakazujcie im, albowiem ich jest Królestwo Boże”.

Co do ogólnego wrażenia — stwierdzić należy, jeżeli chodzi o stronę zewnętrzną, że wystawa posiada charakter wybitnie współczesnej techniki wystawowej, w której artysta posługuje się wszelakim materiałem dla uzmysłowienia plastycznego danego zagadnienia. Od stopnia zużycia interesujących motywów, materiału, ogólnej dekoracyjności zależy stopień napięcia artystycznego — realizacja celu. Otóż na tej wystawie z przyjemnością spostrzec można dużo osiągniętego celu nawet niewyszukiwanymi a wdzięcznymi środkami — jeśli zważymy na konieczność ekonomii, tak często przeszkadzającej przy wyładowaniu instynktu artystycznego. Co zaś się tyczy strony wewnętrznej, o tym sąd należy raczej do fachowców. Jako laik wzruszony byłem niejednokrotnie przy różnych stoiskach, gdzie wśród wszystkich liczb statystyki, fotosów i makiet widziałem przede wszystkim wyraźnie ogrom nieszczęścia dziecka polskiego i usiłowania zwalczania jego, niestety, nieproporcjonalnie, jakkolwiek nieraz graniczące z heroizmem.

Wystawa krajobrazów pt. „Nowogródzkie” i „Wileńszczyzna” w lokalu Koła Wilnian (Marszałkowska 153).

Wystawa została zorganizowana przez grupę „Espekaes”, złożoną z pp. *Ireny Pikiel*, *Henryki Staszewskiej*, *Heleny Kuczyńskiej* i *Kazimierzy Żołnierzy-Piotrowskiej*. — Całość czyniła wrażenie dodatnie, świadczące o intencjach szczerych wydobycia charakterystycznego piękna krajobrazu wileńskiego.

Wystawa Warszawa wczoraj — dziś — jutro — w gmachu Muzeum Narodowego.

Oglądając każdą wystawę retrospektywną otrzymuje się ułamkowe wrażenie zaniku czasu i odczuwa się poniekąd logikę historii; tym więcej, jeżeli widz ogląda własną historię uplastycznioną w takiej formie jak obecnie przedstawia się na wystawie: *Warszawa wczoraj — dziś — jutro*.

Głównym wrażeniem, jakie każdy Polak musi odnieść przechodząc sale wystawy jest to, że Warszawa od chwili, kiedy się stała stolicą naszego państwa, mimo smutnego okresu niewoli, podczas którego była pozabawiona samodzielności i pogrążona była w chaosie bezplanowego rozrostu — nigdy nie przestała być stolicą Polski, ogniskującą w tragicznej dobie rozbrojów istotny akcent polityki narodowej i wszelkiej akcji niepodległościowej, szczególnie uwydatnionej na ostatniej dawniejszej w tymże gmachu — opisywanej już przez nas — *wystawie pamiątek powstaniowych*.

Brak miejsca spowodował prawdopodobnie nie uwzględnienie szerszego retrospektywu malarskiego. W każdym razie należy stwierdzić, że tego rodzaju zajmująca i pożyteczny pokaz oglądaliśmy po raz pierwszy w Polsce odrodzonej. Przegląd wystawy obecnej jest najlepszym lekarstwem na mizantropię i działa jak ożywczy balsam łagodzący długi, o dotkliwy, niestety, szereg codziennych bolączek i przykrości bytowania miejskiego. Nadzieja oparta na udowodnieniu logicznej ciągłości zmagani, na pokazaniu wytrzonej pracy dla jutra, co już częściowo daje owoce dziś — jest przecież wielką dźwignią życia. — Przez podanie w jasny i zrozumiały sposób tych prawd — wystawa osiągnęła swój wysoki cel społeczny.

Wystawa prac artystów, urządzona staraniem *Towarzystwa Przyjaciół Sztuki Polskiej* w salonach Muzeum Narodowego na Podwalu. Charakter zbiorowości oraz wyraźna tendencja sprzedażna nie przyczyniła się, niestety, do jej jakości.

Wystawa Instytutu Propagandy Sztuki (Ipsu) X Salon.

Ogólny poziom tegorocznego salonu Ipsu jest bardzo nierówny. Obok istotnych wartości i rzetelnego szukania prawdy — niektórych wystawców — masa jest tandety, po prostu szmiry malarskiej, gdzie niedolność i brak podstawowych technicznych wiadomości zablągowanych jest tak zwana modernizacja, oparta na chlapaniu obowiązkowym wapienisto-zielonkawym błotem olejnej farby. Osobliwie uwidoczniła się to u czołowych pionierów, najzjadlejszych krzykaczy — uczących społeczeństwo i nadających ton — już za granicami Polski przebrzmiałego kierunku. Podkreślam to dlatego, że dla tych jednostek zagranica, a nie własna idywidualność była i jest jedynym metrem — co znów nie jest rzeczą trudną do zrozumienia, jeśli się widzi gęsto przetykany zespół artystów Polaków — nie Polakami nieraz o rdzennie polskich nazwiskach. *Dr M. Natęcz-Dobrowolska*.

MUZYKA

O tym, że profesor *Jerzy Żurawlew* jest świetnym pedagogiem i pianistą wiadomo w świecie kulturalnym od dawna. Dowodzą tego liczne szeregi jego uczniów, wychodzących corocznie w świat z Wyższej Szkoły im. Chopina. Ale mało kto wie, że zjawiające się co pewien czas pomysły organizacyjne z konkursami chopinowskimi na czele, to również dzieło *Żurawlewa*.

O tych rzeczach mówi się, dyskutuje, ale zbyt rzadko odwołania się nazwisko dzielnego organizatora. Podobnie dzieje się z najświeższym jego pomysłem, tym razem zwróconym bezpośrednio ku młodzieży muzycznej. Dziełem tym, wypełniającym dotkliwą lukę w naszym życiu muzycznym, jest Sekcja Pomocy młodym muzykom, zorganizowana przy Warszawskim Towarzystwie Muzycznym. Ta rzecz wymaga bliższego omówienia. W Polsce nie brak wśród młodzieży ani talentów, często bardzo wybitnych, ani ludzi bezsprzecznie zdolnych, posiadających spory zasób wiedzy. Jaka czeka ich w kraju przyszłość? Zazwyczaj — borykanie się z losem w walce o chleb codzienny, stopniowe marnowanie talentu, zejście na poziom przeciętności tych, co w latach młodych najpiękniejsze budzili dla ojczyzny nadzieje. Przyczyną tego, od lat obserwowanego faktu jest z jednej strony *obojętność społeczeństwa* na sprawy z muzyką związane, z drugiej zaś — niezaradność młodzieży, prącej się ku wyżynom sztuki, a nie umiejającej walczyć o zdobycie mocnego oparcia w społeczeństwie, wśród którego żyje i pracuje.

„Zrozumieliśmy jest, iż w tych warunkach zniechęcenie do sztuki może ogarnąć młodą siłę i rozwój ich talentów powstrzymać, pomniejszyć lub zgłó — unicestwić. Jak wielką będzie to stratą dla przyszłości naszej kultury artystycznej — dowodzić nie trzeba”.

Jestem głęboko przekonany, że pięknie pomysłany program Sekcji Pomocy młodym muzykom zostanie stopniowo wykonany. Ze młodzież nasza uzyska nie tylko ułatwienia w stawianiu swych pierwszych kroków na estradach polskich, ale i w akcji wymiennej z zagranicą. Inicjatywie prof. *Żurawlewa* i jego najbliższych współpracowników na terenie nowopowstałej Sekcji należy najgoręcej przyklasnąć. Co więcej — społeczeństwo poprzeć ją winno przez gremialne zapisywanie się do rzędu członków rzeczywistych, bądź też — protektorów. Niechaj nie giną nasze młode talenty!

Drugą z kolei sprawą, mającą, według mnie, ważne w życiu i kulturze muzycznej znaczenie, to tragiczne w swym założeniu dzieje zbiorów muzykologicznych *Edwarda Wrockiego*. O sprawie tej pisano już tyle w ostatnim lat dziesiątku, że, zdawałoby się, nie potrzeba do niej powracać. Z artykułów piór co najprzedniejszych, wliczając w nie i własne artykuły *Wrockiego*, mogłaby powstać dość już obfita literatura. A jednak sprawa zbiorów tego wytrawnego znawcy, a zarazem niezwykle w dobie obecnej entuzjasty sztuki, utknęła na martwym punkcie. Zagadką jest, dlaczego ani sfery rządzące, ani miasto, ani społeczeństwo nie chcą (czy też nie umieją) znaleźć rozwiązania dla sprawy tak prostej, z zarazem tak ważnej.

Ci, którym danym było zetknąć się z *Edwardem Wrockim* w Rosji, na terenie Petersburga, znają doskonale jego twórczość, które zapoczątkował jeszcze w Wilnie i doprowadził w ciągu niewielu lat do imponującej liczby 100 tysięcy obiektów.

Jakieś fatum zawisło nad głową tego bezprzykładnego idealisty, jakim jest *Wrock*, ki, a jednocześnie nad jego ukochanymi i przez tyle lat z niezwykłym samozaparciem gromadzonymi zbiorami.

A przecież kolekcja muzyczna *Wrockiego*, to jedynie cząstka jego projektów organizacyjnych. Opracował on jeszcze w roku 1915 schemat Akademii Wiedzy Muzycznej, uważając (i słusznie) zbiory swoje



jako jej fundament. Pisze o tym projekcie zarówno sam *Wrock*, jak znany publicysta, *Bernard Szarlitt*. „*Wrock* proponuje — czytamy w broszurze *Szarlitta* („Nieznany skarb w Polsce”) — aby... położono kres powszechnemu gromadzeniu zbiorów bibliotecznych i skoncentrowano je wszystkie pod dachem „Akademii Wiedzy Muzycznej”. Złączone tym sposobem zbiory te tworzyłyby żywy organizm naukowy, który po uzupełnieniu go warsztatem pracy doświadczalnej stanowiłby Akademię o czterech wydziałach: 1) muzyczno-teoretycznym i estetycznym, 2) muzyczno-etnograficznym, 3) muzyki kościelnej i 4) muzyczno-historycznym”. — Obecnie czas najwyższy przejść do realizacji przede wszystkim inwentaryzacji zbiorów muzycznych *Edwarda Wrockiego*, a wślad za tym do Akademii Wiedzy Muz., przezeń projektowanej. Instytucja ta byłaby pierwszą w Europie próbą scałkowania ruchu muzycznego i nadania mu należytej powagi.

Przejdźmy z kolei do bieżących spraw koncertowych.

W „dużej” Filharmonii dali się słyszeć: wiolenczelista francuski, *Maréchal*, który następnie grał w Instytucie Francuskim, znakomity dyrygent, *Emil Cooper*, *Mieczysław Münz* oraz *Zabejda-Sumicki*. Wielkie powodzenie mają nadal „poranki” niedzielne, o których kulturalnym znaczeniu miałem już nie raz sposobność pisać. Szczególnie udał się poranek *Czajkowskiego* (bez solisty) z *Józefem Ozimińskim* przy pulpicie dyrygenta. Odłożony na tydzień recital chopinowski *Henryka Sztompki* wykazał raz jeszcze wielkie walory pianistyczne gry tego młodego artysty. W tejże sali (Konserwatorium) urządzono koncert ku uczczeniu 10-tej rocznicy zgonu śp. *Juliusza Wertheima*; wyróżniła się tam p. *Nolier-Mazurkiewiczowa*, jako wnikliwa interpretatorka cyklu pieśni *Wertheima*.

Kilka słów oceny poświęcić należy młodemu basistcie, p. *Naruszewiczowi*. Piękny, rozległy w skali głos, dobra szkoła i ładne frazowanie każą wróżyć utalentowanemu śpiewakowi dużą przyszłość.

Wreszcie — Opera boryka się nadal z trudnościami. Słyszemy wciąż jeszcze: „*Verbum nobile*”, „*Harnasiów*”, a najczęściej „*Księcia Szirasu*”. Szkoda, że w tym ostatnim zmieniono dawną obsadę. Związana *Fedczkowska* — nie nadaje się zupełnie do operetki. Kiedyż nareszcie usłyszymy jedną z wielkich oper, a przynajmniej dobre wznowienie?

Smutnym jest, że opera nasza musi iść nadal po linii... najmniejszego oporu.

Wł. B.

RADIO I RADIOFONIA

Zdobyłycie radiofonii polskiej w okresie 20-lecia niepodległości.

Radiofonia w tym sensie, w jakim ją znają dzisiejsi słuchacze, nie istniała już nie tylko za czasów zaboru, ale w Polsce nie istniała przed rokiem 1926. Prawie trudno sobie wyobrazić — mimo, iż radiofonia jest tak młoda — że były kiedyś czasy, kiedy ani w jednym polskim mieście nie posiadano odbiornika radiowego, że nie było wówczas w Polsce żadnych stacji radiowych, że nikt nie nadawał i nikt u nas nie słuchał programu radiowego.

Dośćownie zupełnie „z niczego” powstał w Polsce organizm potężny, co do znaczenia i wpływu, jaki wywiera: radio. Radio rozrasta się i potężnieje w naszych oczach, często więc trudno uchwycić drogę rozwoju, po prostu przez brak perspektywy potrzebnej do obiektywnego ocenienia tego nowego zjawiska w życiu ludzkości.

Jeśli jednak rzucimy okiem wstecz na to, co radiofonia polska zrobiła w tym okresie, zobaczymy, że zarówno w okresie inwestycyjnym materialnych, jak i w dziedzinie moralnej i artystycznej, radiofonia polska ma wiele pozycji, którymi pochwalić się może przed społeczeństwem.

Oddziaływanie radia jest jeszcze zbyt młode i zbyt świeże, aby rozmiary jego i znaczenie zmierzyć i określić w sposób widoczny. Są jednak pewne sprawdziany świadczące, iż to, co radio robi w dziedzinie artystycznej, oświatowej, informacyjnej i rozrywkowej, jest nieocenionym w skutkach działaniem na rzecz podniesienia na wyższy poziom najszerszych warstw społeczeństwa w tych właśnie dziedzinach.

Polskie Radio nie tylko — jak radiofonie zagraniczne — czerpie do swego programu wartości już istniejące, ale wytwarza wartości nowe. Stworzono 6 orkiestr: dwie w Warszawie, po jednej we Lwowie, Wilnie, Poznaniu, Katowicach. Stworzono w Warszawie chór, zorganizowano bibliotekę muzyczną. Zaproszono do współpracy kompozytorów, celem spolszczenia repertuaru muzyki rozrywkowej, wydobyto z zapomnienia mnóstwo utworów dawnych polskich kompozytorów, zebrano nieznane dotąd pieśni ludowe, przypomniano i zaznajomiono słuchaczy z sylwetkami niemal wszystkich kompozytorów polskich — jednym słowem, dokonano w dziedzinie muzyki polskiej wiele pracy, aby zbliżyć ją do ogółu słuchaczy i uczynić ją wszystkim słuchaczom czymś bliskim i powszechnie znanym. Nie tylko zresztą słuchaczom polskim. Fale radiowe łatwo docierają za granicę i automatycznie niejako szerząc tam znajomość naszej kultury, a w dodatku — Polskie Radio drogą wymiany całych programów i wymiany artystów przyczynia się do zaznajomienia za granicę z naszą muzyką.

Jeśli chodzi o literaturę — to radio również nie ogranicza się do recytowania przed mikrofonem utworów napisanych do druku, lecz ma własny gatunek literacki — słuchowisko. Dziś już prawie wszyscy czołowi pisarze polscy wypowiedzieli się w tej formie przed mikrofonem, budząc u słuchaczy wzruszenia innymi wartościami, niż w teatrze i kinie.

Radio stwarza wokół siebie atmosferę literacko-artystyczną: grupuje pisarzy, muzyków, literatów, daje im audytorium na innym terenie nieosiągalne. Prawdą jest, że wielu rzeczy nadawanych przez radio słu-

cha się pobieżnie, ale trwałość oddziaływania radia jest tak uporeczywa, że dla każdego słuchacza nadchodzi kiedyś chwila uważnego słuchania, chwila wzruszenia treścią audycji radiowej.

W dziedzinie oświatowej radio spełnia nie mniejszą rolę. Gdybyśmy chcieli wydrukować wszystko to, co w radio w ciągu roku nadaje się jako prelekcję, odczyty, pogadanki, informacje itd., otrzymalibyśmy niemal codziennie 200-stronicowy tom normalnego formatu książkowego, tom, na który składałyby się wypowiedzi wszystkich ludzi, którzy spełniają w naszym społeczeństwie rolę przodowniczą w dziedzinie oświaty, kultury, literatury, nauki, sztuki, ekonomiki itd.

Jeśli chodzi o działalność informacyjną — to tu radio zdało więcej niż egzamin. Wielokrotnie byliśmy świadkami wzruszającej potęgi oddziaływania radiowego w chwilach, gdy trzeba było zjednoczyć naród wokół idei żywotnej dla interesów Polski. Tak było w momencie rozwiązywania sprawy litewskiej, tak było, gdy Śląsk Zaolzański manifestował krwią swoją wolę połączenia się z Rzeczpospolitą.

Spełnione marzenia o własnym samochodzie.

— Jeszcze nie bardzo mogę uwierzyć, że doprawdy jestem właścicielką pięknego samochodu — zaczyna szczerze p. Henryka Nowakowska, szczęśliwa zdobywczyni jednej z pierwszych nagród Letniej Akcji Premiowej Polskiego Radia. — Przecież mogłoby się zdarzyć, że los — jak wiadomo: ślepy — obdarzyłby samochodem kogoś zamoznego, co i bez tego mogłoby się zdobyć na kupno auta.

Tymczasem p. Nowakowska jest osobą zgoła skromnie usytuowaną, pracującą jako kasjerka w jednej z popularnych aptek warszawskich.

— Kiedy się pani dowiedziała o tym, że jest posiadaczką pięknego samochodu?

— To była śmieszna historia. Siedziałam jak zwykle w kasie, kiedy otrzymałam telefon od mojej siostry z wiadomością, że przed chwilą byli u nas w domu jacyś panowie z radia i powiedzieli, że wygrałam samochód. Muszę się przyznać — uśmiecha się p. Nowakowska — że uważałam to za jakiś żart lub nieporozumienie.

— A więc nie wierzyła pani we własne szczęście?

— Doprawdy nie wierzyłam. Wprawdzie brałam udział w Letniej Akcji Premiowej,

ale nie przypuszczałam, abym to właśnie ja mogła wygrać tak wspaniałą nagrodę... Tymczasem panowie z radia przyszli do mnie do apteki. Wtedy już uwierzyłam. Nie posiadałam się z radości. Moje koleżanki i koledzy urządzili mi małą owację, w ogóle była to sensacja. Wszyscy mówili tylko o radu.

— Czy brała pani już dawniej udział w konkursach i akcjach premiowych, urządzanych przez radio?

— Proszę sobie wyobrazić, że był to swego rodzaju debiut radiowy. Po raz pierwszy stanęłam do konkursu i od razu zdobyłam jedną z pierwszych nagród.

— Jest pani widocznie dzieckiem szczęścia. A jakie są pani plany na przyszłość?

— Przede wszystkim, muszę oznajmić, że bynajmniej nie mam zamiaru pozbywać się wygranego samochodu. Tak się szczęśliwie składa, że moi krewni w W-wie posiadają własny garaż, gdzie znajdzie bezpłatny przytułek mój wóz. Dowiedziałam się poza tym, że Simka zużywa mało benzyny i oliwy. Mam więc nadzieję, że będę mogła utrzymać samochód z moich niezbyt wysokich zarobków. Naukę jazdy mam zamiar opanować z podręcznika...

— Przystępuje pani przecież prawo bezpłatnego korzystania z kursów samochodowych?

— Jeszcze lepiej — odpowiada sympatyczna rozmówczyni — widzę, że radio naprawdę dba, aby mi ułatwić moje pierwsze kroki samochodowe. Mój Boże, tyle razy dawniej w marzeniach odbywałam piękne podróże samochodowe po całym kraju. A dziś to wszystko staje się niespodziewanie rzeczywistością. Jeszcze teraz chwilami trudno mi uwierzyć, że to mój własny samochód stoi na ulicy. Trochę to wszystko jest jak w bajce.

— Ale ponieważ bajka stała się rzeczywistością, może pani zdradzić nam projekty swoich najbliższych wycieczek.

— Przede wszystkim muszę się jak najprędzej nauczyć prowadzić samochód. Mam nadzieję, że będę dobrym kierowcą. Spokoju, spostrzegawczości i opanowania nauczyła mnie moja dziesięcioletnia praca w kasie, podczas której nie wolno mi było ani przez chwilę marzyć „o niebieskich migdałach”. Już teraz myślę o wykorzystaniu swego letniego urlopu. Spędziłabym go najchętniej w Krynicy. Nie potrzebuję dodawać, że mam zamiar udać się tam... moim samochodem.

Laureatka Letniej Akcji Premiowej Polskiego Radia — p. Henryka Nowakowska z Warszawy, obok zdobytej przez siebie II nagrody w postaci samochodu „Fiat 500”.



Dział Kobiety

DLA DUSZY

Nie pokładaj pokoju swego w ustach ludzi, albowiem czy dobrze, czy źle sądzą, nic przeto człowiek innym się nie stawa. Gdzież jest prawdziwy i pokój i prawdziwa sława? Czyliż nie we mnie?

Kto nie pragnie podobać się ludziom, ani się obawia im nie podobać, ten w obfity pokój opływać będzie.

Wszelki zaś niepokój serca i roztargnienie, pochodzą z nieporządnej miłości i z próżnej bojaźni.

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Z tym pozdrowieniem, wchodzimy dziś do domów rodzin polskich, a więc i do naszych braci na Śląsku za Olzą, którzy wrócili z woli Bożej i dzielności naszej polityki zagranicznej na łono umiłowanej Ojczyzny.

Niech Bóg nie odmarwia nam łaski swej Opieki.

Niech wszystkie polskie domy rodzinne wypełnia zawsze czynna praca dla kraju i niech nieopuszcza nigdy wiara w zobopólne miłowanie.

Bo Polacy, czy byli podczas ciężkiej i długiej niewoli, jako emigranci w pięknej kulturalnej Francji, która im dawała gościnę, czy przykuci do taczki w dzikich tajgach sybirskich, złączeni byli zawsze jedną myślą: odzyskania Ojczyzny, wyzwolenia Polski, zbrojni wiarą w pomoc Bożą.

Oswobodzeni z kajdan niewoli, złączeni w bratniej miłości, pracujemy ile sił. Ofiarnością na ogólne cele dokumentujemy miłość wielkiej polskiej naszej sprawy, a wszyscy razem padajmy w pokorze przed Boga ołtarze z błaganiem o opiekę i łaskę wytrwania w trudzie dla dobra naszych rodzin i całej polskiej społeczności, w czym racz nam nie odmówić pomocy Wielki Boże!

REDAKCJA.

SIEW, KTÓRY NIE POSZEDŁ NA „MARNE”

To właśnie książka, wydana nakładem Biblioteki P. S. L. w Krakowie, ul. Św. Anny 5, nosząca tytuł „Dysproporcje, rzecz o Polsce przeszłej i obecnej”, napisana przez Eugeniusza Kwiatkowskiego.

Książka poważną mieszcząca na 313 stronach treść, od której oderwać się trudno każdemu, komu nieobojętny jest nasz rozwój jako państwa. Toteż w ciągu roku nakład 2.200 egzemplarzy, numerowanych, rozszedł się natychmiast, a nabycie książki drugiego wydania stało się już obowiązkiem każdego domu rodzinnego.

Dlaczego?

Dlatego, że wśród ciągłych narzekań, pesymizmów, niedowierzań, czasem może i słusznych, najczęściej przesadnych, jednostronnych i ślepych, mówi do nas człowiek, ściśle związany z biegiem spraw kraju, człowiek zrównoważony, mądry a cichy, głęboko przemyślaną treścią swej pracy, daje nam obraz uczciwy nie tylko stanu rzeczy najżywotniejszych, ale narzuca nam spokój i wiarę w przyszłość, która jednak leży w naszych własnych mocach.

Słabość — zwalczać, hartować moc — podnieść ją bezgraniczną miłością sprawy, która jej warta, a może zciwną narzekania i jęki, które oprócz chwiania — ener-

gią organizmów słabszych, nie przyczyniają się do rozwoju sił twórczych.

Odczuwa to autor dotkliwie i wybucha błogosławionym zniecierpliwieniem, którego wyraz pozwalamy sobie przytoczyć w znakomicie skreślonym ustępie książki, mieszczącej one: „Dysproporcje”.

„Gdybyśmy równocześnie — mówi autor — mogli zebrać i zachować w pamięci te nieskończone jęki naszego pesymizmu i narzekań na stosunki polskie, byłibyśmy niewątpliwie zawołali w gniewie: czegoż więc u licha domagacie się sami od siebie, Polacy? Na czym opieracie słabość waszego charakteru? Gdzie znajdujecie jeszcze te nieskończone źródła zakwaszenia własnego życia, gdy pracą waszą osiągnęliście w ciągu pierwszego dziesięciolecia tak imponujące wyniki? Dziewięć dziesiątych największych zniszczeń wojennych odbudowaliście własnymi siłami. Stworzyliście nienajgorszą administrację, doskonałą armię zorganizowaną, ubraną i wyposażoną należyście, stworzyliście olbrzymią sieć własnego szkolnictwa, zgromadziliście niemały zapas złota, wyparliście siedem różnych, bezwartościowych walut, zawarliście kilkadziesiąt znośnych traktatów handlowych, uruchomiliście własny port handlowy w Gdyni, postawiliście zawiązek floty

handlowej i wojennej, zapoczątkowaliście odbudowę kredytu długoterminowego, rozszerzyliście akcję oszczędnościową, dobudowaliście nowe linie kolejowe, utrzymujecie dość regularny ruch kolejowy, uruchomiliście zamaryły przemysł produkcji śląskiej, przynajmniej w okresie koniunktury światowej — nie tylko nie daliście upaść, ale rozwinęliście ją i związali organicznie z resztą Polski. Zorganizowaliście długi szereg nowych wytwórni, pracujących w dziedzinie obrony państwa, kolejnictwa, elektrotechniki, budowy maszyn, chemii i rolnictwa: nie daliście się złamać przez wojnę celną z Niemcami, macie coraz lepiej pracujące poczty, tak doszczętnie zdeorganizowane w czasie wojny, stworzyliście własne podstawy dla rozwoju lotnictwa, ożywiście zamaryły w czasie wojny przemysł ludowy, dokonaliście pozytywnie pewnego wysiłku w zakresie uregulowania serwitutów i zcalenia gruntów, pchnęliście w każdym razie naprzód zagadnienie reformy rolnej, zmodyfikowaliście znaczną część ustawodawstwa, stworzyliście własną organizację sądowniczą, w wielu miastach podjęliście podstawowe prace inwestycyjne”.

Nikt nie zaprzecza. Wszystko to się stało — ale narzekania — nie cichną i tworzą nadal tę atmosferę jakiejś, często nieusprawiedliwionej niechęci i nieufności. —

Prawda, że utonąć w kwietyzmie dobrych czynów, które się pełnią, byłoby wielkim niebezpieczeństwem. Prawda, że istnieje bezrobocie, nędza i głód. Prawda, że rzuca się brutalnie w oczy bezmyślność grup dosytnych, których dusz nie objął święty płomień zapału pełnienia miłosierdzia, a dotknął egoistyczną ślepotą. Ale od tego są wierni, których kraj zawsze ma wielu w zapasie. Od tego jest polska kobieta, stojąca na czele domu i rodziny, która musi wziąć w budowę składową swej duszy to, co pisze p. min. Eugeniusz Kwiatkowski w swej książce „Dysproporcje”, napoić atmosferę tą wiarą, która tworzy cuda, tą miłością, która nie zna granic, jeśli chodzi o dobro kraju, i tą wiarą, którą ma każdy

Blagostawieństwo dla cery. szczególnie podczas niepogody

PULSA KREM 333
FR. PULS S.P.A.K.C.

F.P.W.

człowiek uczciwy i która mu daje siły na każdą walkę aż do zwycięstwa.

Bóg nie odmówi pomocy.

L. Kotarbińska.

CO MÓWIŁ DO WIERNYCH JE. KS. BISKUP PRZEŹDZIECKI ORDYNARIUSZ DIECEZJI PODLASKIEJ Z OKAZJI TYGODNIA MIŁOSIĘDZIA?

„Szczęśliwy jestem, że w diecezji naszej jest wiele serc dobrych, czułych na smutek, cierpienie, biedę bliźnich. Świadkiem tego w ostatnich tak ciężkich latach jest coraz bardziej okazywana pomoc potrzebującym jej, czy to bezpośrednio z rąk do rąk, czy też za pośrednictwem różnych organizacji. W parafiach naszych działają zrzeszenia miłosierdzia, nazywane charitas parafialna. Najmilsi, dołóżmy starań, aby nikt wśród nas nie cierpiał z głodu, z zimna, z braku odzienia. Charitas parafialna niech działa coraz gorliwiej na każdy dzień...

„Członkowie Akcji Katolickiej, mężowie, niewiasty, młodzieży męska i żeńska, pamiętajcie, że Akcja Katolicka to miłość Boga i bliźniego. Miłujcie bliźnich czy-

nem. Nie szcędźcie trudu i ofiary, aby od bliźnich nędzę odpędzać.

„Kapłanie, naśladowco Chrystusa, wzorze życia według Jego nauki, bądź zawsze w pierwszym szeregu działaczy na polu miłości bliźniego. Staraj się, aby z domu twego codziennie nie jedno głodne dziecko syte wychodziło...

„Nie ograniczajmy się jedynie tylko na „Tygodniu Miłosierdzia”. Wspierajmy zawsze i wszędzie potrzebujących naszej pomocy. Współdziałajmy z „Ogólnopolskim Obywatelskim Komitetem Pomocy Zimowej Bezrobotnym”.



CHOROBY PŁUC

GRUŹLICA PŁUC

jest nieubłagana i corocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar. — Przy zwalczaniu chorób płucnych: bronchitu, grypy, uporczywego męczącego kaszlu i p., stosują pp. lekarze „BAL-SAM TRIKOLAN-AGE“, który ułatwia wydzielanie się płwociny, usuwa kaszel.

DBAJCIE O SWOJE ZDROWIE

Przy chorobach: ŻOŁĄDKA, KISZEK, WĄTROBY, przy KAMIENIACH ŻÓLCIOWYCH, WZDĘCIU BRZUCHA, ODBIJANIU SIĘ, LUB SKŁONNOŚCIACH DO ZAPARCIA, stosuje się: „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA“ Gąseckiego, naturalny łagodny środek przeczyszczający, ułatwiający funkcje organów trawienia, stosowane również przy nadmiernej otyłości.



Denaturat i kuchenka „E M Ę S” niezastąpiona w gospodarstwie domowym.

PIĘKNE CZYNY

W Okrzei, powiatu łukowskiego, miejscu urodzin naszego wielkiego *mistrza słowa*, *Henryka Sienkiewicza*, poświęcony został w dniu 2 października Kopiec ku jego chwale usypany i oddany narodowi, którego ducha krzepił podczas niewoli swymi dziełami. Miłował Polskę. Wierzył w naród i raduje się duch jego przed Panem, że się nie zawiódł, i że wolni dziś czcimy otaczamy jego imię.

W parku na Pradze odsłonięty został pomnik sławnej naszej *pisarki Elizy Orzeszkowej*, dłuta rzeźbiarza Kuny, dar bezimiennego ofiarodawcy. Prezydent miasta Starzyński pięknym słowem rozpoczął uroczystość odsłonięcia popiersia, poczem przemawiała p. Nałkowska, czł. Akademii Literatury, i p. Szelągowska, przewodnicząca Zw. Kobiet pracujących zawodowo.

Gończym sercem dziękował młody obywatel Pragi za ten dar, przypominając, że Praga zawsze własną ofiarą broniła stolicy. Dziękował też prezydentowi Starzyńskiemu za opiekę nad tą dzielnicą, co zresztą słusznie dyktował — głos wdzięczności.

P. starosta Łach, przewodniczący wydz. powiatowego w Krakowie, wysłał do wicewoj. dra Malhomme, komisarza cywilnego przy dowództwie grupy operacyjnej „Śląsk”, następujące pismo. „Przyłączając się do ogólnej radości społeczeństwa polskiego z powodu przyłączenia Śląska Zaolzańskiego postanowiłem dla uzewnętrznienia tej radości przyjąć 50 dzieci z Zaolzia na jednociętny pobyt w „Domu Dziecka” pow. krakowskiego w Radziszowie. Dzieci przebywałyby w Radziszowie od dnia 2 listopada do 2 grudnia. Przesyłając dla orientacji kilka zdjęć domu, który stanowi zakład wypoczynkowo-zdrowotny dla dzieci, upraszam uprzejmie o możliwie rychłą odpowiedź na moją propozycję, po czym zostałyby ustalone szczegóły przyjęcia jej”.

Dyrekcja państwowego wydawnictwa książek szkolnych postanowiła wysłać bezpłatnie na Śląsk Zaolzański 40.150 podręczników dla wsi szkół powszechnych łącznie z książkami dla bibliotek szkolnych.

Zarząd Koła T. S. L. odbył w naszym mieście uroczyste posiedzenie celem wyrażenia radości z powodu powrotu do Polski Zaolzia. Po wysłaniu depech hołdowniczych uchwalono miejsce stypendialne w tutejszej bursie T. S. L. dla ucznia z terenu za Olzą.

ZE ZWIĄZKU PAŃ DOMU

Na pierwszym powakacyjnym zebraniu Związku Pań Domu znalazła się na porządku dziennym sprawa wyborów do samorządu.

Wiceprzewodnicząca Stow. Kobiet Pracujących zawodowo, pani Anna Szelągowska, wygłosiła referat pt.: „Samorząd a kobiety”, w którym omówiła ustrój prac miejskich i prace, które samorząd ma przed sobą. Prelegentka podkreśliła, że samorząd jest doskonałym terenem pracy dla kobiet i powinnyśmy wykazywać jak największe zainteresowanie.

Związek Pań Domu chce usprawnić swoją działalność organizu-

je dla członkiń wszystkich swoich oddziałów kursy, obejmujące swym programem całokształt pracy społecznej.

Na zebraniu Zw. Pań Domu, które odbyło się dn. 4. XI w lokalu Tow. Higienicznego, Karowa 31, p. Wojtowicz-Grabińska wygłosiła referat pt. „Sprawozdanie z Kongresu Dziecka, w którym podała paniom do wiadomości dezyderaty i uchwały kongresu, zachęcając panie do wzięcia udziału w następnym kongresie dziecka.

W związku z wyborami do władz samorządowych Zw. Pań Domu przystąpił do Narodowo-Gospodarczego Komitetu Samorządowego, wysuwając członkinię naszą, p. Wandę Hummlową, jako kandydatkę na radną.

W początkach grudnia odbędzie się dla członkiń zarządu wszystkich oddziałów Związku Pań Domu kurs, kształcący członkinie w pracach społecznych.

Pani Iwanka Prażmowska w kilku słowach poinformuje panie o pracach i zadaniach opiekunów społecznych, zachęcając panie do pomocy na tym terenie.

Dnia 20. XI w dolnych salonach Hotelu Europejskiego urządził Zw. Pań Domu (Wydział Propagandy) podwieczorek-dancing z atrakcjami — dochód przeznaczony na pracę oświatową na przedmieściach.

Poradnia Zw. Pań Domu udziela wszelkich porad z zakresu gospodarstwa domowego, a również w kwestiach prawnych, związanym z rodziną i prowadzeniem domu.

SKÓRY

surowe wszystkie skupujemy.

FUTRA

wszelkie dostarczamy — naprawiamy — modernizujemy.

GARBUJEMY — FARBUEJEMY

Prowincja pocztą.

Ilustrowane katalogi, 32 str., 25 gr znaczkami.
Przedstawiciele — skupujących — poszukujemy.

POLSKA CENTRALA SKÓR I FUTER

Sp. z o. o. Poznań, Focha 27.

Zw. Pań Domu prowadzi stale kursy dla pań i pracownic domowych, które przygotowują uczestniczki do samodzielnego i racjonalnego prowadzenia gospodarstwa domowego.

Poradnia Związku Pań Domu udziela wszelkich porad z zakresu gospodarstwa domowego — a również i w kwestiach prawnych, związanych z rodziną i prowadzeniem domu.

Prawidłowe jadłospisy mięsne i bezmięsne na każdy miesiąc wraz z licznymi przepisami, dział prawidłowego odżywiania dorosłych i dzieci, dział badania zafałszowań produktów spożywczych, bardzo ciekawy dział prawny i budżetowy podaje **Poradnik-kalendarz Związku Pań Domu**. Do nabycia w księgarniach i w Związku Pań Domu, Nowy Świat 9.

LISEUSA (OGRZEJDUSZKA)

Całość liseusy podajemy przy rysunku sukni. Podane wymiary są odpowiednie na średnią figurę — należy centymetrem sprawdzić wymiary na własnej figurze i albo dodać, albo ująć kilka centymetrów. Liseusę wykonać z cienkiej włoskiej wełny, albo innej, byle cienkiej wełny, grubym, kościanym szydełkiem, żeby robota nie była ścisła, a miękka, przytulna. Pas, kołnierzyk i mankiety robimy ściśle, cienkim szydełkiem. Liseusa składa się z dwóch części zeszytych na plecach. Zaczynamy od środka pleców robiąc 3 cm długości 40 cm, potem dodajemy łańcuszek na 55 cm i w dalszych rzędach przerabiamy całość póki z przodu nie osiągniemy 40 cm, wtedy ujmujemy z każdego boku po 15 cm i robimy jeszcze 30 cm, które stanowią rękaw. Mając oba kawałki gotowe, zszy-

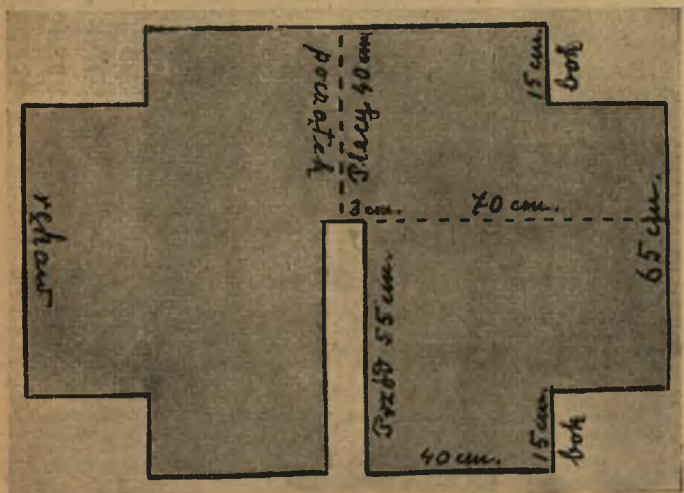
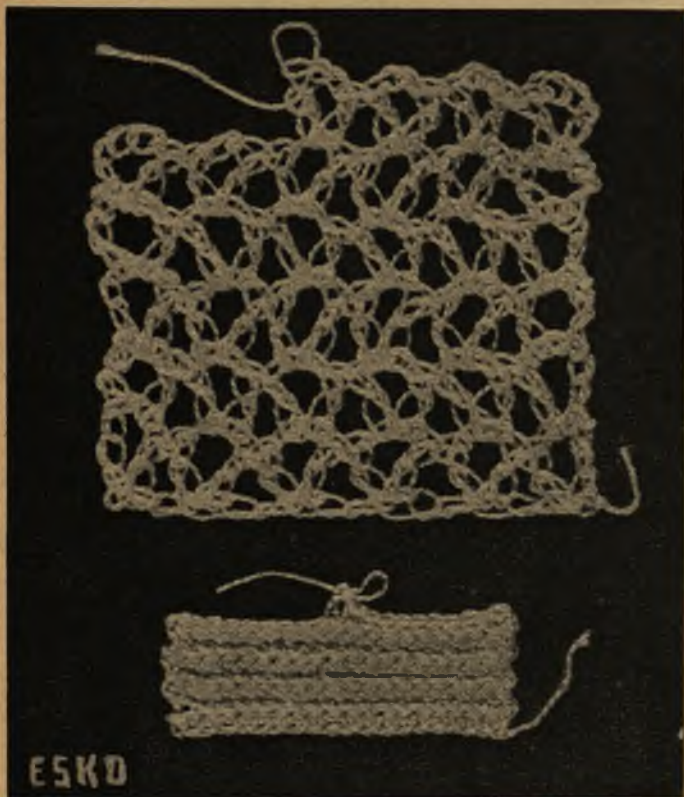
wamy je na plecach i przyszywamy kołnierzyk, mankiety i pasek. Przy pasku i mankietach marszczymy liseusę.

Pasek i mankiety powinny mieć 6 cm szerokości, kołnierzyk 8 cm, długość mierzyć według figury. Na pasy robimy same półsłupki, chwytane stale za tylną nitkę oczka, przez co tworzą się rowki i wypukłości.

Deseń zaczynamy od łańcuszka odpowiedniej długości, potem 5 ocz w powietrzu, 1 słupek wkuć w ostatnie oczko łańcuszka, 1 słupek wkuć w trzecie oczko łańcuszka, 2 ocz. w powietrzu, 1 słupek w to samo oczko co poprzedni słupek, następny słupek znowu w trzecie ocz. łańcuszka i tak do końca rzędu. W następnym rzędzie zaczynamy od 1 półsłupka między ostatnie dwa słupki, potem 5 ocz. w powietrzu, 1 słupek w to samo miejsce, następnie 2 słupek przedzielone dwoma oczkami między dwa słupki poprzedniego rzędu i tak stale powtarzamy rzędy.

Nosić ją można w dzień, na każdą suknię, również dobrze, a może najlepiej, w łóżku do czytania. Przylega i ogrzewa doskonale.

E. Kotwicz-Onichimowska.



MODNE FUTRO

W tym roku kołnierze przy futrach i paltach są bardzo obfite, zakładane w fałdy, albo tworzące duże kłapy. Futro, którego model podajemy, jest z łapek karakutowych, z dużym, zakładanym kołnierzem z lisów. Można to palto uszyć i z ładnego gniecionego pluszu, a kołnierzyk dodać ze skunksów albo oposów. Będzie również ładne, a znacznie tańsze. Mufki są w tym roku noszone duże.

Dla dziewczynki dajemy palto przybrane popielatymi barankami.



SUKNIA WIZYTOWA

W tegorocznym zimowym sezonie dużo widać modeli sukien czarnych, albo w odcieniach ciemno-wiśniowych. Suknie na ogół skromne, prawie bez przybrania, wysoko podchodzą pod szyję. Marszczenia przy stanikach bardzo modne, jak również rękawy rozszerzające się ku dołowi. Spódniczki wąskie i krótkie.

Obok modelu sukni narysowany fason liseusy, której ściąg, wy-miary i opis podajemy osobno. E. Kotwicz-Onichimowska.



Z GOSPODARSTWA DOMOWEGO

SKROMNA WIGILIA

Święta Bożego Narodzenia obchodzone są w Polsce z wielką uroczystością i nie ma bodaj takiej rodziny, żeby w wigilijny wieczór wszyscy jej członkowie nie zgromadzili się przy wspólnym stole, celem spożycia tradycyjnej wieczerzy wigilijnej.

Podajemy kilka skromnych jadłospisów wigilijnych, które zależnie od potrzeby można urozmaicić odpowiednimi przystawkami.

1. Barszcz na grzybowym smaku z grochem, śledzie w śmietanie, kartofle pieczone w otrębach, kapusta duszona, grzyby smażone, kluski z makiem.
2. Zupa grzybowa z kaszką w kostkę, dorsz po grecku, kapusta duszona, grzyby w cieście osmażone, łamańce z makiem.
3. Zupa rybna z kluseczkami, karp smażony, kapusta na grzybowym smaku, Legumina makowa, ciasteczka kruche. —

TANIE PIERNICZKI

1 całe jajko, ½ kg mąki, 30 deka miodu, 1 szklanka cukru, 1 łyżka masła, 1 łyżeczka sody, 2 łyżeczki kakao, rozpuszczone

w szklance wody, utarta skórka cytrynowa z jednej cytryny. Rozcierać wszystko w misce przez 15 minut, wyłożyć na wysmarowaną masłem blachę i upiec w gorącym piecu. —

KRAJANKA FIGOWA

30 deka fig sznurkowych, 15 deka cukru, 10 deka orzechów, ¼ szklanki wody, ½ — 1 cytryny, 2 — 3 wafle. Figi zmielić na maszynce od mięsa, orzechy posiekać i wymieszać z syropem ugotowanym z wody i cukru, wcisnąć sok z cytryny, wyłożyć na wafel, przykryć drugim, przycisnąć deseczką, po stężeniu krajać. —

NIE DROGIE, A SMACZNE BAKALIE W CZEKOLADZIE

10 deka blokowej ciemnej czekolady, 2 deka masła kakaowego włożyć do rondelka i wstawić do większego garnka z wodą gorącą, i mieszając, rozpuścić czekoladę. Wrzucić w tę czekoladę krajane figi, rodzynki, kawałki orzechów, daktyli, wyjęte z nalewki wisnie, usmażoną i obsuszoną skórę pomarańczową itd. Wymować widelcem na lekko wysmarowany oliwą półmisek i dać wyschnąć.

ŻURAWINY W CUKRZE

Zrobić gęsty syrop. Dojrzałe, całe jagody opłukać, osączyć, wrzucić po kilkanastu do zimnego, gęstego syropu i rzucać na cukier-puder. Obtaczać w nim tak długo, aż oblepią się zupełnie cukrem. Po zaschnięciu składać do pudełka. —

DOBRY SOS BESZAMELOWY (przepis francuski).

Rozpuścić 20 g masła z solą, dodać 40 g mąki i wlewać po trochu pół szklanki wody i pół szklanki mleka, mieszając ciągle. Gotować na wolnym ogniu przez kilka minut. W chwili podawania zdjąć rondelki z ognia i dodać żółtko wymieszane naprzód z kilkoma łyżkami letniego sosu i wcisnąć pół cytryny.

SOS „À LA MOUSSELINE”

Ten sam sos nabierze jeszcze wykwintniejszego smaku, gdy w ostatniej chwili doda się pianę z białka bardzo mocno ubitą. Sosy te podaje się do gotowanych ryb i jarzyn, głównie do kalafiora.

SOS WŁOSKI DO RYB GOTOWANYCH LUB PIECZONYCH

Łyżkę masła zasmażyc z łyżką mąki, rozprowadzić smakiem z ryby, gotować na wolnym ogniu kilka minut, wyspać garść tego ostrego sera, wymieszać i podawać w sosierce. Rybny smak zastąpić może wywar z jarzyn. Wład.

Dnia 31 października 1938 roku odbyło się w PKO czternaste publiczne premiowanie książeczek na wkłady oszczędnościowe premiowane serii III.

W premiowaniu brały udział książeczki, na które wniesiono wszystkie wkładki za ubiegły kwartał w terminie do dnia 2 października 1938 roku.

Premie po złotych 1000 padły na numery: 156.972, 157.042, 185.449, 186.681, 227.292, 228.467, 249.060.

Premie po złotych 500 padły na numery: 151.349, 151.989, 157.995, 160.542, 164.279, 169.467, 171.435, 177.152, 177.958, 181.344, 181.980, 184.204, 185.934, 189.629, 194.952, 198.679, 199.082, 203.020, 203.138, 206.051, 210.377, 214.813, 222.786, 223.099, 235.751, 238.678, 239.812, 245.706, 249.960.

Premie po złotych 250 padły na numery: 150.167, 150.358, 150.936, 151.298, 153.879, 154.267, 154.589, 157.241, 157.653, 157.877, 159.714, 159.959, 160.254, 160.311, 160.790, 161.721, 162.576, 162.622, 164.814, 165.974, 167.018, 167.922, 168.294, 168.375, 168.468, 169.532, 169.762, 171.296, 171.574, 171.679, 171.973, 171.985, 177.381, 177.414, 177.704, 178.268, 179.752, 180.106, 184.478, 185.849, 187.896, 188.406, 188.683, 189.056, 190.082, 191.507, 192.039, 194.125, 195.371, 198.296, 198.674, 201.263, 201.649, 201.954, 203.071, 203.557, 203.860, 204.922, 205.316, 205.360, 205.770, 206.073, 207.359, 207.606, 208.275, 210.943, 210.992, 214.136, 214.177, 216.433, 220.396, 221.396, 221.644, 225.140, 225.686, 228.550, 229.794, 230.220, 230.238, 230.761, 234.575, 235.967, 237.667, 240.646, 243.125, 243.259, 249.029, 251.338.

Poza tym padło 293 premie 100-złotowych.

Po raz drugi padły premie na następujące książeczki: zł 500 na numery: 177.958, 189.629, 194.952, 214.813; zł 250 na numery: 150.936, 153.879, 162.622, 171.973, 180.106, 190.082; zł 100 na numery: 151.417, 154.748, 157.184, 158.072, 164.521, 167.535, 169.030, 170.641, 170.693, 171.326, 175.182, 180.604, 184.802, 185.088, 205.677, 205.699, 209.182, 216.532, 229.528, 233.378, 234.867.

Po raz trzeci padła premia złotych 100 na książeczkę nr 195 032. Ogółem padło 416 premii na łączną kwotę zł 72.600.

O wylosowanych premiach właściciele książeczek są powiadomieni listownie.

Należy zaznaczyć, że zasadą wkładów oszczędnościowych premiowanych serii III jest stały wzrost liczby premii w miarę wzrastania wkładów na książeczce, przy czym po otrzymaniu premii książeczki nie tracą swej wartości, lecz nadal biorą udział w następnych premiowaniach, pod warunkiem regularnego opłacania dalszych wkładów.

Książeczki serii III, na które padły premie w poprzednich premiowaniach, dotychczas nie podjęte: zł 500 nr 249.301; zł 250 numery: 169.003, 197.056, 201.354, 207.778, 239.626; zł 100 numery: 150.404, 161.591, 164.509, 171.855, 179.698, 191.407, 199.237, 203.770, 220.390, 227.006, 238.058, 242.265, 243.458.

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

LICZBA DZIECI W SZKOŁACH W WARSZAWIE. — POMNIK KU CZCI KS. A. KORDECKIEGO. — DOM DLA SAMOTNYCH. — ŚWIETLICA I DOŻYWIANIE DZIECI. — BILETY ULGOWE DLA ROBOTNIKÓW. — ZWROT POŻYCZEK. — PRZYTUŁEK W GÓRZE KALWARII. — TWORZENIE KÓŁ KOBIECYCH L. M. i K. — KASY KREDYTU BEZPROCENTOWEGO I BIBLIOTEKI.

Wiedzieć należy, że w roku bieżącym w Warszawie wzrosła liczba dzieci w szkołach o 100 tysięcy, czyli że razem uczęszcza do szkół 5.296.000 dzieci. Trzeba myśleć o nowych szkołach.

Wiedzieć z radością w sercu należy, że między Opatówkiem a Błazkami, w Szczytnikach, odsłonięty został pomnik ku czci ks. Augustyna Kordeckiego.

Niech żyje Kalisz!!!

Wiedzieć trzeba, zwiedzać należy Dom dla samotnych na Saskiej Kępie. Pisząca te słowa wprawdzie sama tam także dotąd — nie była, ale w następnym numerze już dam sprawozdanie i opowiem, co i jak... Tymczasem sygnalizuję tylko, że dom taki istnieje, że przy ul. Jakubowskiej 18 stoi, że postawił go „Międzystowarzyszeniowy Komitet Pomocy Inteligencji Pracującej”. Pokoje są tam jeszcze puste — ale niezawodnie szybko się zapełnią.

Wiedzieć trzeba — jak najszerzej powiadamić należy tych, którzy pism nie czytają, że:

Stołeczny Komitet pomocy dzieciom i młodzieży w bieżącym roku szkolnym, jako i w dożywianiu, przyspieszył termin otwarcia świetlic przy publicznych szkołach powszechnych dla dzieci najuboższych. Czynne są 22 świetlice, 42 są w organizacji. Dzieci spędzają w świetlicach czas na odrabianiu lekcji w odpowiednich warunkach i na godzinnych rozrywkach.

Objasniać należy, zwłaszcza robotników mieszkających poza miastem, że: bilety ulgowe będą sprzedawane wyłącznie na pod-



stawie legitymacji, wydawanych przez kasy kolejowe, poświadczonych przez władze gminne. — Poniżej w ostatnich dniach przed ostatecznym terminem bywa zazwyczaj największy napływ osób, należałoby, aby zainteresowani postarali się uzyskać zaświadczenia możliwie najwcześniej.

Kto pożycza, wiedzieć przede wszystkim powinien, że oddać pożyczkę musi. Służnie też Zarząd Bratniej Pomocy 'Studentów U. J. zwraca się tą drogą do wszystkich byłych członków Bratniej Pomocy z prośbą o spłatę długów, zaciągniętych w „Bratniaku” podczas studiów uniwersyteckich.

W myśl statutu Bratniej Pomocy, podpisanego rewersu dłużnego, każdy pożyczający zobowiązał się spłacić wypożyczoną kwotę bez upomnień najpóźniej w ciągu trzech lat po opuszczeniu uniwersytetu.

Idąc na rękę dłużnikom, zarząd może zgodzić się na miesięczne ratalne spłaty, z tym, że wysokość rat będzie uprzednio uzgodniona.

W wypadku, gdyby powyższy apel nie odniósł pożądanego skutku, zarząd „Bratniaka” będzie zmuszony ogłaszać w prasie nazwiska dłużników, celem uzyskania adresów, a następnie dochodzić swych pretensji na drodze sądowej.

Informacji udziela: Oddział Wierzytelności Bratniej Pomocy Studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, ul. Jabłonowskich 10/12, gdzie należy kierować wszelką korespondencję.

Wiedzieć pożytecznie, aby objaśniać kogo należy, że przytułek w Górze Kalwarii

istnieje, że dobroczynny wywiera wpływ na okolicę, że jest prawdziwą chrześcijańską oazą dla kalek, chorych i bezrobotnych. Ze są pensjonariusze, którzy oczywiście płacą, ale doskonała administracja umie groszem należycie gospodarować i pomagać tym, którzy płacić nie mogą. Ze — narzeczie, zorganizowano warsztaty pracy, pończosnictwa, szycia, stolarnię i warsztaty szewskie, które obsługują potrzeby Zakładu, że wreszcie założono ogród, który już w ubiegłym roku dał ponad 3.000 zł dochodu i zatrudnienie mieszkańcom przytułku. Niechże Bóg pomaga i błogosławi w zbożnej i pożytecznej pracy.

Każda Polka obywatelka wiedzieć powinna, że należenie do szeregów pracujących w Lidze Morskiej i Kolonialnej jest jej obowiązkiem. Ze nie tylko samej dawać grosz ofiarny trzeba, ale zawiązywać koła i bodaj 10-groszowe składki oddawać na potrzeby ogólne L. M. i K.. Gdyby każdy dał tylko 10 groszy — ileż by się zebrało co miesiąc od trzydziestu kilku milionów ludzi. — Zapisujcie się, panie, do prowincjonalnych oddziałów, jakie są już dziś w każdym mieście na obszarze Polski i twórcze Koła Kobiet, bo dzieci kaszubskie potrzebują naszej opieki!

Dowiadujemy się, że na ziemiach wschodnich podczas ostatnich pięciu lat założono 100 polskich kas kredytu bezprocentowego, oraz 500 bibliotek. To są najlepsze środki dla ratowania naszego drobnego handlu — bez awantur, wymysłów i nienawiści. Zagarniać placówki zostające w obcych rękach i zwalczać je uczciwością naszego handlu.



ZAWIADOMIENIE:

PREPARATY

Institutu Kosmetyczno - Lekarskiego

IZIS

Helena Brzezińska i S-ka sp. z o. o.

SA JUŻ W SPRZEDAŻY

Warszawa Senatorska 37

ZADAC kategorięcznie w większych składach aptecznych i drogeriach.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Pannie M. Zaw. w Kutnie. Wysłała niedawno właśnie taka książka, o jakiej łaskawa Pani pyta. Książka nosi tytuł: „Obyczaje towarzyskie”, napisana przez p. Marię z Colonna Walewskich Wielopolską. Pisał o niej w „Kronice Kobiecej” z 9 lipca br. A. Bg, więc można wierzyć, że książka dobra, bo ją chwali kończąc, jak następuje:

„P. Wielopolska potraktowała temat z należytą powagą i umiarem a bez najmniejszej przesady. Wydawnictwo państwowe książek szkolnych oceniło znaczenie tego dziełka, wydając je. Bardzo słusznie. Nie jeden czytelnik wdzięczny za nie będzie. Czytelniczka także. Naucz się, między innymi, co to jest stół, porządnie nakryty”.

Każda księgarnia, jeśli nie ma na składzie — sprowadzi na żądanie książkę, wydaną przez Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie.

P. M. W. Kursy kroju i szycia już trwają w „Dźwigni” Zgoda 6. Radzę też Pani wyspecjalizować się w naprawianiu bielizny i cerowaniu. Widziałam w Holandii, zwiedzając szkoły zawodowe dla kobiet, sławne obrusy holenderskie, którymi szczyły się nasze babki, tak cerowane, że każdy listeczek kwiatów na nich tkanych nie był zmieniony. Nitka w nitkę. Nie wiem czy kto u nas to umie, ale nauczyć się tego byłoby praktyczne. —

Staszku kochany — dziękuję Ci za miły liścik i ślicznie napisany. Zwróć się z tą samą prośbą do brata Ambrozego, który redaguje doskonale i bardzo zajmujące pismo dla dzieci „Małego Apostoła”. Proś mamusię, żeby Ci to pisemko zaprenumerowała i wtedy tam pošlij swoje bajeczki. O żołnierzach też dowiesz się niejednego. Adres taki sam jak „Rodziny Polskiej”, bo pracujemy w jednym domu pod dobrą opieką czcigodnych misjonarzy Księżych Pallotynów.

WIGILIA

Krzętała się żywo Wojdasowa po izbie, aby z wszystkim na czas zdążyć, nim pierwsza gwiazdka zabyłśnie. Święty to dzień dzisiaj, wigilijny. Ale i nie taki jak zawsze, podwójnie święty i uroczysty. Dziś wigilię w swoim kraju obchodzić będą, nie na zaproszeniu Polski, jak to przez lat prawie dwadzieścia bywało. Zadumała się Wojdasowa. Hej! leciały lata. Wspominała, jak to przed wojną kryjomo polskie książki dzieciom czytała, co je Macierz śląska rozdała, bo choć niby zakazu nie było, ale tam Niemcy w fabryce krzywym okiem patrzyły, jak kto zanadto o Polsce mówił. A po-



tem lata wojny, głodu i chłodu, i zmagani ciężkich i krwawych, a potem 20 lat ciężkiej niewoli. Twarda była, pacierza pilnowała, swojego języka strzegła, by nim mówili, do żadnych obcych związków synom należeć nie dała, córkę jedyną do Polski posłała, na niewiedzenie się jej skazując, byle tylko Polka została. Tam jej Karelka poszła za męża — nie kołysała ci tych wnuczków, nie kołysa-

ła — myślała Wojdasowa z żalem, a — ani ich prawie znam, alem też i czeskich wnuczków nie kołysała i swojej duszy zmienić dzieciom i wnukom nie dała. — Wspomniała sobie ostatnią walkę z synem. gdy łośńskiego roku wnuczków dwojga, Jenika i Marty, do czeskiej szkoły oddać mu nie dała.

— Niechże choć jedno dam — prosił rozpaczliwie — a jak chleb stracę i roboty dostać nie będę mógł? —

— Wytrzymamy i tę biedę, synku — mówiła Wojdasowa prostując swą krępką jeszcze postać — wychowałam was, chociaż sierotami wcześniej zostali, Bóg nas wspomóż a na zatrecenie dzieci nie dam.

— Et! co matka wiedzą — sarknął robotnik, widmem głodu przerażony.

— Uspokój się, synku — prawiła matka, głaszcząc go po siewięcej głowie — niedługie już tu ich panowanie, mówię ci. A jak my teraz za progiem stoimy, to musimy być na to wejście gotowi, by nam zaś ta ojczyzna nie rzekła, żeśmy dzieci złe i niepamiętliwe. Tak bywało... a teraz Pambóku miły... ze tyle radości serce strzmac może... — Te wspominki przerwało jej wejście obojga wnuczków. Wpadli z hałasem, wlokąc drwa na opał przeznaczone, ale na widok babki, tak zawsze czynnej i pracowitej, w zadumie przy oknie stojącej — umilkli i trochę zastraszonymi oczkami ku niej spoglądali. Ocknęła się Wojdasowa z zadumy. I znów krętała się ją po mieszkaniu.

Gdy pierwsza gwiazdka na niebie zabyłsta zgromadzili się wszyscy, i synowie obaj z żonami i dziećmi, i ten najmłodszy, co w powstaniu brał udział, i jeszcze rękę na temblaku nosił, a wreszcie przyszła i Karelcia kochana, już nie za przepustką na chwil parę, ale przyjechali z całą rodziną, już nie z tamtej strony, bo jeden

ten kraj jest. A już najbardziej rości serce Wojdasowej, gdy na najstarszego syna Karelci spojrzęła. Na urlop na święta do domu wrócił i razem z rodzicami do babki mało znanej, ale bliskiej sercu z opowiadania rodziców, na wigilię przyjechał. Wnuk jej, syn Karelci, w wojsku polskim służył i w jakim? Takiego tu nie znali, marynarzem Rzeczypospolitej był. Już się babce w głowie z tego szczęścia kręciło, Marta i Janek to i spokoju nie dawali nowozapoznanemu krewniakowi, żeby opowiadał i opowiadał, jak to na tym okręcie i jakie to morze, i czy tak wszystko jak na obrazku, aż ich uspokoił nareszcie obietnicą, że z pewnością w lecie ze szkołą na wycieczkę pojedą, to i morze, i polskich marynarzy, i Gdynię, dumę naszą, i polskie okręty zobaczą, a teraz trzeba być cicho, bo święta wigilia się zaczyna.

Wzięła Wojdasowa w rękę opłatek i ku swoim się zwróciła: — Cóż wam życzyć mam — rzekła głosem drżącym wzruszeniem — ja jużem więcej doczekała niż się spodziewała i wy ze mną, jeno wam tego życzyć mogę, byście na chwałę tej Ojczyźnie pracowali, a młodzi rośli na jej pożytek, a tej wolności świętej strzegli, jak oka w głowie — i wyciągnawszy rękę z opłatkiem błogosławiącym ruchem zwróciła się ku dzieciom, a wtedy zerwały się dzieci i wnuki, i otoczyły zwartym kołem Wojdasową, a chyląc się do jej rąk mówiły:

— Dziękujemy ci, matko i babko, żeś nas polskiej mowy i pacierza uczyła, żeś nas do czeskiej szkoły nie dała, żeś nas w najgorszych chwilach krzepiała, żeś nam o Ojczyźnie zapomniać nie dała, żeś nam w polskim wojsku służyć dopomogła. Ześ wierzyła i w nas wiarę krzepiała w powrót i złączenie Zaolzia z całością Ojczyzny. — Słuchała tego Wojdasowa, słuchała, aż ją coś w gardle dusić jęło i ta twarda kobieta, co wszystkie prześladowania, trudy, rozłąki bez lży znosiła, rozplakała się rzewnie szczęsnym szlochaniem. Ale już chór dzieci i wnuczków podjął kolędę, a ona nuciła wraz z nimi:

Podnieś rączkę Boże Dziecie.

Błogosław Ojczyznę miłą... H. Rostańska-Choynowska.



LAMIĄ I BOLAŁY STAWY

Cierpią na to wszyscy artretycy i reumatycy. Są to choroby przewlekłe i trudne do wyleczenia, nie należy zatem ich lekceważyć i zaniedbywać i już w zaczątkach należy wejść na drogę leczenia przyczynowego. Przyczyną tych chorób jest zwykle wada w przemianie materii i na to przede wszystkim należy zwrócić uwagę. Ziola Magistra Wolskiego przeciw artretyzmowi, ischiasowi, reumatyzmowi i pedagrze ze znak. ochr. „REUMOSA”, zawierające rzadką roślinę chińską Schin-Schen, usuwają z organizmu nadmiar kwasu moczowego, łagodzą bóle i regulują przemianę materii. Do nabycia we wszystkich aptekach i drogeriach.

ŚWIĘTY MIKOŁAJ... SZARADA

Taka byłam trzy-czwarta i piąta
jeszcze wtedy i taka malutka,
gdy podarków szłam szukać na grządkach
do białego od śniegu ogródka!

Jakiś głos pierwszej mówił i wołał,
że tam właśnie pod samym okienkiem,
w nocy złożył coś Święty Mikołaj:
może łałkę, a może sukienkę?

Wszakże wczoraj sześć-dwa nam Mamusia
biały papier, kopertę, ołówek —
więc do listu usiadłam, brat usiadł
i siostrzyczka... Pisz, pisz! Kilka słówek!

I zabrała się do trzy-drugiego
trójka dzieci z nadzieją i wiarą:
— „Mikołaju! Potrzeba mi czegoś...
Sam wiesz przecie! Sukienkę mam starą...” —

I bywało, że przyszedł sam do nas,
z pięć-pierwszymi pogadał, pogwarzył,
obdarował, utulił w ramionach.
(Do wujaszka podobny był z twarzy!).

Bardzo dobry był dla nas ten święty —
przyszedł, pacierz nam umieć zalecił,
a gdy nie mógł sam przyjść, zbyt zajęty,
to na oknie zostawił pakiecik.

Nigdy nam nie zdarzyło się przecie,
by wspaniałe od niego nie dostać!

O legendo najmiłsza na świecie
w treści swej tak serdeczna, a prosta!... „Ligia” (Kl. Sz.).

GDZIE GWIAZDA ŁŚNI... SZARADA

Dziwił się piąta taka, że... słowem
najlichsza z wszystkich sześć-siódmych,
dała przytułek Niebios Królów
i Jej Dziecinie przecednej.

Czwarta-dziesiąta Niebios hosanna
pastuszkom wieść oznajmiła,
że w małej szopce Najświętsza Panna
Dziecinę Bożą powiła.

Sześć-dziesiątego chwyciła trwoga,
Błażej dwa-osiem na Józka:
— „Trzeba iść witać żywego Boga,
malusińskiego Jezuska!” —

W raz-drugiej-siódmejwstecznej stajence
trzy ziemi, tu, z trzy-pierwszymi
mieszka Król królów, co pragnie w męce
drogami iść człowieczy!

— „Jakże tu będziemy darmo sześć-dziewięć?
Po co się radzić i kogo?
Zaliż to który z nas tego nie wie,
że Mu tam zimno, ubogo?”

Bierzmy, co można i chodźmy sami,
gdzie gwiazda łśni w nocnej czerni!...” —

Poszli — i w szopce stali z królami
czwarci najmniejsi, lecz wierni! „Ligia” (Kl. Sz.).

WSPOMINAĆ BĘDĘ... SZARADA

Z mgieł szóste-siódme do mnie płyną,
a ja zanurzam się w ich ciemność —
dni, jak wspomnienia dawne giną
i jesień staje znów przede mną.

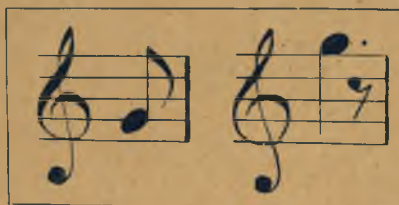
Zachodem niebo się trzy-jeden,
raz-trzecia gubi żółte stroje —
zaświeci słońce i niekiedy
zagości szczęście w sercu moim.

I przyjdą szóste-pięte chwile,
jak nowe noce, snów piastunki —
i znów wspominać będę mile
najsłodsze twoje pocałunki.

Tu dzień majowy rano witał,
a ty pięć włosów miałaś słońce,
tu bez przy piocie już zakwitał,
tu wszystko było tak pachnące...
Raz-siódme uśmiech szczęścia palił,
dwa-trzecia grzęzła w wonnych kwiatach —
za dniem już wieczór płynął z dali
i ramionami ziemię spletał...

Dość snów... To przecie teraz jesień
przyniosła czwór nas nowe życie,
zgubioną radość w mgieł bezkresie,
o czwartej-pierwszej wiatrów wycie... „Tońko” (Kl. Sz.).

REBUSIK



Rozwiązanie jednowyrazowe. „Dąb-ski” (Kl. Sz.).

MINIATURY SZARADOWE

1. Raz, to trochę mniej, niż dwa-trzy,
lecz tysięcy raz wystarczy,
by mieć żywot lekki, miły
i by całe go zdołoby.

2. Domowego zwierza — bóg
nie przepuści cię przez próg.

Z. Ptaczyńska (Kl. Sz.).

3. Pierwsza-druga, lub na odwrót —
to imię paniątki;
wstecznytrzeci — to stuk nogą...
Cały zaś — maleńki!

4. Litera z literą w rzędzie —
zgadnij, kto to będzie?

M. Karaś (Kl. S.).

Za rozwiązania zadań (nawet jednego) przeznacza Redakcja od
rozlosowania nagrody książkowe.

Termin nadsyłania rozwiązań zadań trzytygodniowy.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NRU PAŹDZIERNIKOWEGO

Szarada: Janowi Matejce.

Szarada: Dary jesieni.

Kwadrat mag.: Krowa, robot, obora, worek, ataki.

Rebus: ...A z nią jesienne zamyślenie.

Wywrotki: Bób, Bard, drab, Barok, korab, Grat, targ.

Rebus: Paragraf aryjski.

Rebusik: Makatka.

Zagadki: 1. Bukowina (Słotwina, Skawina). 2. Ptaszyna. 3. Flo-

ra. 4. Zmora. 5. Formuły. 6. Flustuły. 7. Lampas.

8. Kordelas.

Nagrody książkowe otrzymują: p. Maria Sawicka w Kielcach
i p. inż. Zygmunt Słowkowski w Warszawie. M. Śl. (Kl. Sz.).

MILE WIECZORY

spędzicie na pewno przy „ROZRYWCE” o bogatej treści najroz-
maitszych zadań. Żądajcie bezpłatnych numerów okazowych!
Adres: Redakcja „Rozrywki” (Klub Szaradzystów), Warszawa,
ul. Żulińskiego 7 m. 10. Tel. 7-06-99. Tamże do nabycia niezbędna
dla szaradzystów „Tablica alfabetów chorągiewkowego, palcowego
i Morse’go, po cenie 50 gr.

REBUS



Rozwiązaniem jest ośmiowyrazowy dwuwiersz, złożony z następujących sylab: Do, junk, kon, kość, ludz,
ne, nie, prze, róż, ry, ry, si, sow, sto, świa, ta, tor, tu, tu, zno. „Eszet” (Kl. Sz.).

WSRÓD WARIATÓW

Spotykają się dwaj wariaci.
 — Dlaczego jesteś taki zaferowany?
 — Cóż? Zielone Świątki nadchodzą, a ja nigdzie nie mogę dostać choinki.
 — Po co ci choinka na Zielone Świątki?
 — A kiedy wariat ma mieć choinkę?

PYTANIE

Starsza pani mężcy przewodnika pytaniami:
 — W jaki sposób dostały się tutaj te olbrzymie kamienie?
 — Lawina je przyniosła.
 — A gdzie jest ta lawina?
 Poszła, żeby przynieść nowe kamienie.

ZADANIE

Jaś miał napisać zadanie o cyganach.
 „Cyganie — pisze — są bardzo porywcy. Gdy któryś z nich zostanie podrażniony przez drugiego wyciąga nóż, przebija na śmierć swego przeciwnika i niedługo potem stają się obaj znowu najserdeczniejszymi przyjaciółmi”.

TERMIN

— Słyszał pan, podobno już została ustalona ostatecznie data wycofania ochotników z Hiszpanii!
 Kiedyż to nastąpi?
 — Nazajutrz po zakończeniu wojny w Hiszpanii!

WSRÓD RYBAKÓW

— Wczoraj złowiłem olbrzymiego szczupaka. Jak myślisz, ile on ważył?
 — Hm... połowę.

PYTANIE WACUSIA

Mały Wacusię zarzuca ojca pytaniami:
 — Czy to prawda, tatusiu, że ludzie pochodzą od małp?
 — Prawda!
 — A który człowiek pierwszy zauważył, że już nie jest małpą?

TALENT

— Ja, proszę pana, mógłbym być wspinałym mówcą, ale cóż — nie mam okazji do wykazania swego talentu.
 — Doskonale pana rozumiem — ja też jestem żonaty!...

MECZ

Pani Florentyna jest niezmiernie rozmowną kobietą. Trajkocze cały dzień, jak karabin maszynowy. Mąż Florentyny, pan Ignacy, zaciska zęby i co jakiś czas spogląda na zegarek.

— Dlaczego ciągle patrzysz na zegarek — zagaduje żona.

— Bo widzisz — odpowiada z cierpką słodyczą Ignacy — teraz odbywa się mecz i sprawdzam, kto pierwszy stanie: mój zegarek, czy twój język.

HISTORYJKI NIEMIECKIE

Hitler dowiaduje się, że jakiś Żyd berliński jest autorem wielu conceptów, jakie krążą o nim z ust do ust.

Każę go aresztować i przyprowadzić do siebie na indagację. Wymienia mu różne „Witze” i pyta za każdym razem: — Czyś to ty ten concept ułożył?

Żyd, pokornie się kłaniając, mówi: — Tak, panie Führer, to mój...

Wreszcie, po przytoczeniu szczególnie złośliwego żartu, Hitler traci cierpliwość i woła: — Czy nie wiesz, nędzniku, że 65 milionów Niemców ślepo mnie słucha?...

A Żyd na to: — O, ten „witz”, panie Führer, nie jest mój...

W KSIĘGARNI

Pan Popytko wchodzi do księgarni i z oburzeniem zwraca się do sprzedawcy:

— To skandal. W tej książce „Jak zostać milionerem?”, którą kupiłem tu wczoraj, brak połowy kartek.

— A czy pół miliona panu nie wystarczy?

NIE BYŁO CHĘTNYCH

Opowiadają o sławnym uczonym i wynalazcy Edisonie (1847 — 1931), że pewnego razu, powróciwszy z podróży koleją narzekał na wyjątkowe zmęczenie. Musiał bowiem przez całą drogę siedzieć w wagonie plecami do lokomotywy, czego nigdy nie znosił.

— Dlaczegoś tedy — mówi na to żona — nie poprosił kogo z pasażerów, żeby ci ustąpił miejsca po przeciwnej stronie?

— Ba! Nie można było, bo jechałem sam jeden w przedziale.

W SĄDZIE

Sędzia (czyta przysięgę, którą ma za nim powtarzać góral):

Sędzia: — Przysięgam...

Góral: — Jo tyz...

MA WĘCH

Dwóch cwaniaków przechodziło koło koni. Kiedy przeszli Janek mówi do kolegi Władka:

— Widziałeś? Ten koń chciał mnie ugryźć w głowę!

— Ma węch! Poczuj sieczkę.

KORZYSTNY INTERES

U fabrykanta Golda zgłasza się skromnie ubrany młodzieniec.

— Czy mógłbym panu dyrektorowi zaproponować interes, na którym zarobi pan dyrektor 20.000 na czysto.

— Owszem, słucham — mówi zaintrygowany p. Gold.

— Otóż — mówi gość pana Golda — pan dyrektor, jak słyszałem, na posag swej córki wydaje 100.000. Mogę pana dyrektora zapewnić, że jestem gotów wziąć ją z 80.000.

OKOLICZNOŚĆ ŁAGODZĄCA

— Oskarżony twierdzi, że tylko z powodu rozstargnienia wyrzucił swą żonę z okna trzeciego piętra?

— Tak, panie sędzio. Przedtem mieszkaliśmy na parterze i dopiero niedawno temu przeprowadziliśmy się, a ja o tym zupełnie zapomniałem.

W INSTYTUCIE METEROLOGICZNYM

— Panie dyrektorze, pan Dupont wypowiedział posadę.

— Nie przyjmuję jego wypowiedzenia. Wołę mu dać podwyżkę, gdyż jego reumatyzm przy prognozie pogody jest nam niezbędny.

SMUTNA HISTORIA

Jakiś złodziej znajduje się w agonii. Od kilku tygodni walczy ze śmiercią. Kolega po fachu odwiedza go w ostatniej godzinie i pyta wzruszony:

— Jak się czujesz?

Bardzo źle — odpowiada chory. — Żona moja wyszła z kilku przyjaciółmi, by skraść jakąś czarną suknię na mój pogrzeb.

DOBRY ZAROBEK

znajdą gospodarze małorolni, którzy w porze jesiennej i zimowej mogliby stałe podróżować po wsiach, celem sprzedaży pokupnego artykułu rolniczego. Zgłoszenia: Oddział Sprzedaży, Dziedzice, skrzynka pocztowa 46.

— Boli głowa?

Nic nie szkodzi,

Bo „Kogutek” nie zawodzi

Dzisiaj woła cały kraj:

Na ból głowy „Kogutka” daj,

Ale tylko prawdziwego,

Wyrobu Gąseckiego,

Bo zrobiony bez dmuchania

I ręk ludzkich dotykania.

S. S.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — 700 zł, 1/2 str. — 380 zł, 1/4 str. — 200 zł, 1/8 str. — 120 zł, 1/16 str. — 70 zł, 1/32 str. — 40 zł
 Za 1 mm rozm. 6 cm — 1.60 zł, za 1 mm rozm. 4,5 cm — 1.20 zł. — Miejsca zastrzeżone 50% drożej.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZA GRANICĄ WYNOŚI:

ROZDZIAŁ

Polska 6 zł.

Niemcy 4 Rmk.

Francja 50 fr.

Czechosłowacja 35 kor. cz.

Ameryka 2 dolary.

Inne kraje 6 fr. szw.

POŁROZCZNA prenumerata w Polsce — 3 zł, KWARTALNA 150 zł. — CENA POJEDYNCZEGO NUMERU — 50 gr.

Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. nr 14.664 — Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (rachunek wydawnictwa).

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa-Śródmieście, Krakowskie Przedmieście 71. Telefon 2-40-15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i piątki od godz. 15 — 17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna, Warszawa-Śródmieście, Krak. Przedmieście 71.

ale. 103/56k.